

763

# ŻYCIE ZA WOLNOŚĆ!



Stanisław Schnür-Pepłowski

---

# ŻYCIE ZA WOLNOŚĆ!

(Opowieść z przeszłości Galicyi)



WE LWOWIE

NAKŁADEM KSIĘGARNI H. ALTENBERGA

Czcionkami Drukarni Ludowej

1897

**Biblioteka  
Sejmu Śląskiego**

14000

II



51-

~~~~~  
PRZEDRUK ZE „SŁOWA POLSKIEGO”.  
~~~~~

x-43977
14000    II



TEOFIL WIŚNIEWSKI.



*Pötefi.*

Upadek rewolucyi listopadowej dał początek tak zwanej dobie emigracyjnej w Galicyi, która zalana wrogą nam biurokracyą, zniechęcona zawodami, jakie zapisały się w pamięci starszego pokolenia, biorącego czynny udział w wojnie dziewiątego roku, spoczywała do chwili wybuchu powstania w głębokim, narodowym letargu, zdając się zapominać o przeszłości, nie troszczyć się wcale o przyszłość. Dopiero odgłos walki, toczonej nad Wisłą, zelektryzował tutejsze społeczeństwo polskie, a nieszczęśliwy wynik hoju nie osłabił raz rozbudzonych nadziei w odrodzenie ojczyzny. Jakkolwiek więc w latach poprzednich usiłowania patriotów warszawskich, czynione w Galicyi, celem zorganizowania tajnego związku politycznego, nie odniosły prawie żadnych skutków, to ruch, zapoczątkowany w Królestwie, przeniósł się w roku trzydziestym pierwszym do Lwowa, którego ulice zaroili się pod jesień wychodźcami z za kordonu. Ludzie tej miary, co Goszczyński, Lucyan Siemieński, Pol i Ludwik Nabelak, nie mogli nie oddziaływać na tutejsze społeczeństwo w duchu jak najbardziej korzystnym. A po słowie sejmu warszawskiego, schronieni w murach Lwiewo grodu, wydali ztąd odezwę do obywatelstwa

z ziem zabranych, by nie upadało na duchu i każdej chwili było gotowe do wyruszenia w pole, gdyż jak długo Polska nie odzyska niepodległości, tak długo walka nie jest skończoną.

Ziemiaństwo galicyjskie pomyślało w owej chwili o stworzeniu trwałej organizacyi narodowej. Pierwszym jej zawiązkiem był komitet obywatelski powstały we Lwowie za inicjatywą Franciszka hr. Krasińskiego, ks. Henryka Lubomirskiego i Izydora Pietruskiego. Komitet po całym kraju rozesłał wezwanie do składek, w myśl którego każdy właściciel dóbr złożyć miał ósmą część rządowego podatku, każdy dzierżawca dziesiątą część czynszu dzierżawnego. Nadto każdy obwód galicyjski zobowiązywał się do uiszczenia sumy stu złotych reńskich tytułem dobrowolnej ofiary. Składki płynęły obficie i wychodźcy nie odczuwali żadnego braku, mimo, iż liczono ich w Galicyi do dwunastu tysięcy. Komitet obywatelski nie był związkiem politycznej, lecz raczej filantropijnej natury, a istnienie jego nie było tajne rządowi, który w pierwszych miesiącach po upadku powstania użyczył gościnności w granicach monarchii nieszczęśliwym rozbitkom, nie sprzeciwiając się bynajmniej pomocy, jaką mieszkańcy Galicyi nieśli swym ziomkom, pozbawionym dachu i chleba. Niebawem wszakże obok komitetu obywatelskiego, tolerowanego przez rząd, powstał we Lwowie pierwszy, tajny związek polityczny, którego inicjatorem i głównym przywódcą był wspomniany dopiero — co Krasiński. Związek ten, mający za cel dążenie do oswobodzenia Polski liczył zaledwie dwadzieścia jeden członków i dlatego znanym był w kraju pod mianem związku dwudziestu i jednego. Do ścisłego tego grona należeli, prócz inicjatora: Wincenty Pol, Henryk Janko, Rucki Jan, Tyszkiewicz Jerzy, Goszczyński Seweryn, Bielowski August, Skarżyński Mieczysław.

sław, Jabłonowski Ludwik, Siemieński Lucyan, Darowski Mieczysław, Januszewicz Teofil, Podolecki Jan, Zaleski Józef, Kulczyński Ignacy, Tetmajer Józef, oraz pięciu innych, których nazwiska przepadły w toni zapomnienia. Z ramienia tego związku jeździł Pol w roku 1832 na Podole i na Ukrainę dla odwiedzenia tamtejszej szlachty od szalonej wyprawy Zaliwskiego, którą w Galicyi przygotowywał Wincenty Tyszkiewicz, twórca równocześnie zawiązanego związku, zwanego: bezimiennym, a opartego na ściśle wojskowej organizacji.

Oba te związki były krótkotrwałe i po niefortunnej ekspedycji Zaliwskiego, podjętej w marcu 1833 roku znikły bezpowrotnie, ustępując miejsca innej organizacji, przeciwnej natychmiastowemu wybuchowi rewolucyi, lecz obejmującej cały obszar ziem dawnej Rzeczypospolitej. Pierwszy pomysł owej organizacji, osnutej na tle ogólnoeuropejskiego karbonaryzmu, wyszedł od Karola Borkowskiego, wychodźcy, przybyłego wprost z Francyi do Lwowa. Borkowski nie przystąpił wszakże wprost do utworzenia związku węglarzy, który z natury rzeczy mógł obejmować tylko szczupłą stosunkowo ilość członków, jeno zajął się przede wszystkim szerzeniem związków pomocniczych, poświęconych temu samemu celowi. Jeden z tych podrzędnych związków składały kobiety, drugi mężczyźni. Powiązani w kółka, z pięciu osób złożone, mieli mężczy spiskowcy gromadzić zdolnych do boju i zbrojnych powstańców, podczas gdy zadaniem pań związkowych były: propaganda patryotyczna w duchu demokratycznym, tudzież gromadzenie funduszków na cele powstania. Myśl tworzenia takich kółek przyjęła się szczęśliwie. Znaczna ich liczba powstała w krótkim czasie we Lwowie, oraz na prowincyi, a do stworzenia naczelnego związku Węglarstwa przyszło



dopiero w dniu piątym listopada 1833 roku, na nara-dzie, odbytej w Rzepniowie, u Kazimierza hr. Dzie-duszyckiego. Zasady i organizacya węglarstwa nie różniły się niczem od reguł ogólnie europejskiego kar-bonaryzmu, dążącego do wyjarzmienia ludów, a z zwią-zków pomocniczych pozostawiono jedynie związek mężki, ochrzczony mianem Przyjaciół Ludu. Przyjaciele ludu zając się też mieli powierzona pier-wotnie płci pięknej propagandą patryotyczną i skład-kami. Reprezentantką węglarstwa była loża lwowska, zorganizowana przez majora b. wojsk polskich, Jerzego Bułharyna i lekarza Karola Kaczkowskiego, naczel-nika ambulansów w kampanii 1830/1 roku, a jeden z najruchliwszych węglarzy, Napoleon Nowicki, po-spieszył do Krakowa, gdzie również założył lożę, wraz z pomocniczym związkiem Przyjaciół ludu.

Loże owe niedługiem cieszyły się istnieniem. Po części zbyt gorliwy werbunek ich członków, a głównie fatalny koniec wyprawy Zaliwskiego i wywołane nią prześladowania wychodźców przez rząd austriacki, spowodowały rozprężenie w łonie świeżo powstałego węglarstwa, którego miejsce zajęli Przyjaciele ludu. W myśl ustaw, ułożonych na listopadowym zjeździe w Rzepniowie, kółka z pięciu związkowych złożone zwały się sekeyami. Twórca sekeyi był zara-zem jej kierownikiem i znosił się jedynie z przewo-dniczącym sekeyi, z której wyszedł. Naczelna władza wszystkich sekeyj, oznaczonych jedynie cyframi po-rządkowemi, spoczywała w ręku Towarzystwa de-mokratycznego, podczas gdy w kraju kierunek działań oddano setnikom, obieranym przez każdą no-wopowstałą setkę sekeyj. Na razie jednak najwybit-niejszą wśród Przyjaciół ludu odgrywali rolę: Hugo Wiśniowski, trudniący się nauczaniem prywa-tnem tudzież Adolf Dawid, kontrolor przy urzędzie



salinarnym w Kałuszu. Ci dwaj młodzi ludzie, niezwykłych zdolności i moralnej siły, uchwycili ster działań w swe dłonie — jak to wymownie stwierdza historyograf spiskowej doby, ś. p. Henryk Bogdański — by nie dopuścić do oziębienia i ponownego letargu rozbudzonego ducha narodowego. Ponieważ o istnieniu i upadku loży lwowskiej wiedziała tylko pewna liczba wtajemniczonych, przeto nie zmieniali oni wobec ogółu związkowych ani nazwy ani organizacji *Przyciół* ludu, by nie wzniecić najlżejszego podejrzenia wśród sekcyi o nieporządkach, powstałych u steru organizacji spiskowej. Utrzymywali przeto dalej bieg spraw spiskowych, starając się powolnie i stopniowo wyrobić w przewodniczących poszczególnych sekcyj przekonanie o konieczności zmiany obowiązków, mogącej nastąpić już w najbliższej przyszłości. Przedewszystkiem więc zarzucono myśl gromadzenia zbrojnych ochotników, zastępując ją tendencją krzewienia patryotyzmu i oświadczenia jak najszerzych warstw społecznych pod względem narodowościowym. Odbływały się przeto w sekcyach peryodyczne schadzki, na których toczyły się ożywione rozprawy o historii polskiej, o wyrugowaniu Niemczyzny z życia codziennego, o oświacie ludowej, oraz o innych sprawach narodowych. Hugo Wiśniowski zajmował się propagandą na rzecz związku głównie w sferach mieszczańskich i rzemieślniczych, zaś Dawid agitował wśród urzędników i księży. Ten podział pracy nie przeszkadzał wszakże kierownikom związku, iż w danym razie, nie krępując się zakresem prowadzonej agitacji, przyjmowali do spisku osoby, które uważali za odpowiednie do wspólnej pracy. Tak więc Hugo Wiśniowski przyjął z wiosną 1834 roku do związku Franciszka Smolkę, kandydata adwokackiego i praktykanta gubernialnego, Adolfa Leo, tudzież ukoń-

czonego prawnika Teofila Wiśniowskiego, swego imiennika, nie zaś brata lub krewnego, za jakiego go niektórzy uważali.

Osobistości głównego bohatera niniejszej opowieści winniśmy poświęcić obszerniejszą wzmiankę.

Teofil Wiktor Mikołaj, trojga imion, Wiśniowski, ujrzał światło dzienne w dniu drugim stycznia 1806 roku, w Jazłowie, w Galicyi, z rodziców szlacheckiego pochodzenia. Ojciec jego, Tadeusz, herbu Prus I, brał podobno udział w konfederacyi barskiej i osiadłszy w Galicyi, w ówczesnym dystrykcie trembowelskim, został wpisany do metryki Stanów tutejszych. Świadczy o tem dokument, wydany w dniu 19 listopada 1782 roku przez urząd grodowy w Trembowli, a poświadczający, jako bracia Tadeusz i Wojciech Wiśniowscy, synowie Teodora i Anny z Błońskich Wiśniowskich, zaś wnukowie Sebastjana i Jadwigi z Pawłowskich Wiśniowskich, uważani byli, tak przed rewindykacją, jakoteż po zaborze Galicyi, za szlachtę, posesyonatów. Matką Teofila była Agnieszka z Chełmińskich, która prócz niego, powiła jeszcze mężowi dwóch synów: starszego Wojciecha i młodszego od Teofila, Jana. O dziecinnych i szkolnych latach Teofila nie posiadamy bliższych wiadomości. Wiemy tylko z własnych jego zeznań, w śledztwie sądowem złożonych, że wydział prawny ukończył w tutejszej wszechnicy w roku 1829, zmuszony, skutkiem braku utrzymania, do chwilowego zaniechania rozpoczętych studyów w roku 1825. Świadczy o tem zachowana w archiwum tutejszego uniwersytetu odezwa dyrektora wydziału prawnego, Karola Kraussa, który poleca Teofila Wiśniowskiego władzy uniwersyteckiej do uwolnienia od opłaty czesnego, dodając, iż tenże, z powodu ubóstwa przerwał nauki, zmuszony do udzielania lekcji prywatnych na wsi, celem zdobycia sobie dalszych

środków na życie. W rewolucyi listopadowej brał Wiśniowski czynny udział, a po upadku powstania pracował w kancelaryi adwokata Zacharjasiewicza w Stanisławowie, aż do roku 1832, poczem w wyższym sądzie lwowskim złożył egzamin sędziowski. W chwili przyjęcia do związku, liczył Wiśniowski rok dwudziesty ósmy życia i znajdował się w pełnym rozkwicie, niezwyklej, męskiej urody. Wzrostu więcej niż średniego, twarzy pociągłej, rumianej cery i orlego nosa, posiadał to szczególniejsze znamię, iż gdy się uśmiechał, to mu się górna warga fałdowała, niby na dwoje się dzieląc. Uspodobienia poważnego i statecznego, nie był Wiśniowski mowcą błyskotliwym, choć wyrażał się płynnie, z łatwością. Łagodnego charakteru, nie unosił się nigdy, zachowując krew zimną w najtrudniejszych chwilach życia. Wszystkie te zalety czyniły udział Teofila wielce pożądanym w robotach spiskowych, które zwolna, lecz statecznie ogarniały swą siecią kraj cały, krzewiąc zasady związkowe zarówno między ziemiaństwem, klerem i oficyalistami prywatnymi po wsiach i miasteczkach, jakoteż wśród mieszczaństwa, rzemieślników i uczącej się młodzieży, po miastach. W miarę, jak liczba sekcij wzrastała na prowincyi, starali się związkowi zbliżyć do ludu wiejskiego, oświecać go, uświadamiać pod względem narodowościowym, wpajając w niego przekonanie, że tylko zgodnem działaniem z panami, pracą i wstrzeмиęźliwością dojść może do upragnionej wolności. Było to zadanie niezwykle ciężkie, gdyż trzeba było zwalczać i zakorzenione od wieków przesady szlacheckie i uporeczywą podejrzliwość chłopu galicyjskiego, niechętnego wszelakim nowościom, o ile takowe nie pochodziły od rządu i — co smutno wyznać — niewczesne zapędy skrajnych żywiołów, rekrutujących się z wychodźców, czasowo przebywających w kraju.



Młodzi ci, w przeważnej części, ludzie, wykołeni skutkiem ostatniej rewolucyi i ścigani podejrliwością władz austriackich, kryli się po domach, plebanjach i chatach wiejskich, a nie mogąc z miejsca przekonać szlachtę o konieczności reformy społecznej, zwrócili się przeciwko niej i nie rzadko podburzali włościan przeciw dziedzicom, namawiając ich, by przemocą pozbyli się zwierzchniczej władzy dworu i odrabiania pańszczyzny, a nie brakło też zapaleńców, którzy włościan do powstania usiłowali namówić — obietnicą podziału gruntów dworskich pomiędzy chłopów. Nieszczęsna ta propaganda trwała niezbyt długo, gdyż apostołowie przewrotu, ścigani przez rząd, a opuszczeni przez związkowych, umykali, prędzej czy później za granicę, lecz w każdym razie agitacja owa wydała jak najfatalniejsze skutki, gdyż usposobiła niechętnie ogół ziemiański wobec związku, a zarazem spowodowała w łonie organizacji Przyjaciół ludu formalny zakaz szerzenia jakiegokolwiek agitacji politycznej wśród włościan.

Niespodzianie zaskoczyła związkowych wśród robót przygotowawczych wiadomość o aresztowaniu i o samobójczym zgonie jednego z kierowników spisku, Dawida. Dawid, jako urzędnik górniczy, przeniesiony został w roku 1834 do Kołoszwaru w Siedmiogrodzie, gdzie też rychło wszedł w bliższe stosunki z konspiracją tamtejszych patryotów węgierskich, kierowaną przez barona Mikołaja Wesselenyego, gorliwego propagatora unii Siedmiogrodu z krajami korony świętego Szczepana. Odkrycie tej konspiracji przez rząd spowodowało uwięzienie Wesselenyego, oraz Dawida, który otruł się w więzieniu. W Galicyi rozeszła się wiadomość, że władza znalazła w papierach zmarłego informacje, kompromitujące uczestników Przyjaciół ludu, a równocześnie też gło-

szone, iż rząd austriacki kazał aresztować zagranicą i dostał w swe ręce wydalonego już przed dwoma laty z granic państwa Wincentego hr. Tyszkiewicza, zamięszanego w sprawę Zaliwskiego. Jakkolwiek obie wieści były mylne, gdyż w papierach Dawida nie znaleziono najlżejszego śladu istnienia spisku galicyjskiego, a Tyszkiewicz pozostawał na wolności, to jednak panika, wywołana fałszywym alarmem, posłużyła kierownikom Przyjaciół ludu do pozornego rozwiązania tej organizacji i do pozbycia się z jej grona niespokojnych żywiołów, niepojmujących dłuższej pracy przygotowawczej, jeno dążących siłą mocą do zbrojnego wybuchu. Równocześnie wszakże zawiadomiono tych, których w związku zatrzymać chciano, że uchwała rozwiązania Przyjaciół ludu została cofniętą, lecz ze względów ostrożności znieszczone wszelkie papiery konspiracyjne.

Ostrożność ta była konieczną wobec prześladowań, jakie od jesieni 1833 roku stały się udziałem nieszczęsnych partyzantów Zaliwskiego, oraz znacznej części ziemian galicyjskich, podejrzanych o udział w tej wyprawie, która, lubo skierowana wyłącznie przeciw Rosyi, dała wszakże biurokracyi galicyjskiej pożądaną sposobność do zainaugurowania systemu terrorystycznych rządów w nieszczęśliwym kraju, zdanym na jej łaskę i niełaskę. Gmach pokarmelicki, przy dzisiejszej ulicy Batorego, przepełniony był więźniami stanu, w których liczbie znalazł się też Zaliwski, schwytany w okolicy Brzeżan. Jakkolwiek wódz partyzantów, w żołnierskiej swej prostocie, nie tuił bynajmniej wobec sędziów właściwego celu swych działań, to mimoto biurokraci galicyjscy, z trudną do pojęcia zaciekłością, znęcali się nad uwięzionymi, wymuszając na nich zeznania podstępem i torturą, byle tylko jak największe rozmiary nadać pro-

cesowi, wlokącemu się w myśl ówczesnej procedury, żółwim krokiem. I wówczas to po raz pierwszy uznał rząd za stosowne użyć włościan jako obławę policyjną przeciwko szlachcie, przechowującej wychodźców. Zasługa tego wynalazku przypada w udziale radcy dworu Franciszkowi Kratterowi, sprowadzonemu umyślnie z Czerniowiec, którego harce, wyprawiane w cyrkule czortkowskim w pościgu za podejrzanymi osobistościami, zostały uwiecznione na kartach współczesnych pamiętników. Chłopi, zachęceni przez niego nagrodą dziesięciu złotych reńskich za każdego pojmanego emigranta, zaczęli napadać na przejezdnych po gościńcach, oraz na dwory, w których spodziewali się znaleźć upatrzone przez władze ofiary. Wówczas to po raz pierwszy chłop galicyjski zaczął nazywać każdego, czarno ubranego: Polakiem, zwąc siebie dla różnicy: cesarskim... Prócz licznego zastępu szlachty wiejskiej, ofiarą wymęczonych w gmachu pokarmelickim zeznań, padł Zakład narodowy im. Ossolińskich, wraz z swym dyrektorem Słotwińskim, a tylko zabiegom kuratora tego instytutu, Henryka ks. Lubomirskiego, poczynionym we Wiedniu, udało się ocalić ten przybytek wiedzy narodowej od ostatecznej zagłady.

Mimo nieustannych rewizyj, aresztowań i pilnych poszukiwań władzy policyjnej, wietrzącej, poza obrębem sprawy partyzantów knowane roboty spiskowe, nieustawała czynność związkowych, pracujących około przeobrażenia rozwiązanej ponownie organizacji Przyjaciół ludu. Powód do nader ożywionych w tej sprawie narad, odbywanych na Cetnerówce i na Populance, dało przybycie w maju 1834 r. Napoleona Nowickiego, wielkiego mistrza łoży krakowskiej, który wskrzeszeniem łoży węglarskiej we Lwowie zamierzał odzyskać utracone zwierzchnictwo karbonaryzmu nad



związkami Przyjaciół ludu istniejącymi tak we wschodniej, jak zachodniej części kraju. Rezultatem tych obrad było zawiązanie Węglarstwa Polskiego, którego organizacja różniła się pod wieloma względami od dotychczasowej. I tak: w miejsce sekcji, z pięciu osób złożonych, powstały liczniejsze znacznie poręby, których we Lwowie ustanowiono trzy. Każdy poręb z swego grona wybierał przewodniczącego, któremu służyło prawo zwoływania posiedzeń i przewodniczenia obradom, podczas gdy wybieralni również sekretarze spisywali uchwały powzięte na zgromadzeniach, zaś ustanowieni z grona członków stróże — strzegli miejsca obrad, oraz pełnili służbę kursorów. Nadto, każdy poręb wybierał z grona swego delegatów do wyższej władzy, tak zwanej dykasteryi, utrzymującej znów, za pośrednictwem jednego z swych członków, stosunki z ogólnoeuropejskiem Węglarstwem. Dykasterya nie obierała stałego prezesa, lecz obradom jej przewodniczyli kolejno członkowie tego ciała. Na obradach dykasteryi mogli też bywać przewodniczący porębów. Natomiast członek dykasteryi, utrzymujący związki z Węglarstwem zagranicznem, nie był obowiązany do uczestnictwa w jej sesjach, lecz mógł uwiadamiać kolegów o ważniejszych wypadkach, za pośrednictwem jednego z nich. Prócz spraw prowincjonalnych, nie wolno było owemu pośrednikowi wyjawiać cokolwiek z ogólnego ruchu węglarskiego. Wobec tej tajemniczej, niepozbawionej wszakże cech republikańskich konspiracji, pozostałe jeszcze sekcye Przyjaciół ludu odgrywały tylko bierną rolę, dostarczając z swego grona Węglarstwu świeżych adeptów. Zarazem jednak utworzono nowy związek pomocniczy pod nazwą: Związku wzajemnej pomocy, którego celem były: propaganda narodowa, zbieranie składek na zakupno za-

bronionych książek, tudzież wspieranie prześladowanych przez rząd osobistości. I z tego związku mieli się rekrutować przyszli węglarze polscy.

Teofil Wiśniowski, który już w związku Przyjaciół ludu żywszą rozwijał działalność, zwłaszcza wśród wychowanców lwowskiego seminarium gr. k. obrządku, wybrany został do składu pierwszej zaraz dykasteryi wraz z Hugonem Wiśniowskim, Napoleonem Nowickim, z Marcinem Kordaszewskim z Zychlińskim i z Janem Prohaską. Ten ostatni, człek młody jeszcze, piwowar z zawodu, nie mógł, mimo najlepszych chęci, wywierać wpływu dość silnego, by utrzymać w korbach koniecznej karności żywioł mieszczański, budzący się dopiero do narodowej świadomości, krzykliwy a butny. Lękali się kierownicy organizacji i gadatliwości mieszczańskich związkowych, igrających, gdyby dziecię z ogniem, z tajemnicą spiskową, ich kłótni w publicznych lokalach, a nawet pewnego lekceważenia wobec prac konspiracyjnych, okazywanego przez niektórych mieszczan, wtajemniczonych w zamiary związku. Starała się przeto dykasterya rozbudzić wśród mieszczaństwa lwowskiego, jak najżywsze zainteresowanie dla sprawy narodowej, o ile się to dało uskutecznić bez obudzenia podejrzeń policyjnych, a na nieostrożnych usiłowała wpłynąć, bądź to przedstawieniami, bądź też usuwaniem niepoprawnych ze związku. Posiedzenia dykasteryj odbywały się zazwyczaj u Prohaski, który u zbiegu dzisiejszych ulic: Kopernika i Pełczyńskiej posiadał obszerniejszą realność, złożoną z ogrodu i kilku domostw. Piwiarnia, istniejąca w ogrodzie Prohaski, uchylała podejrzania, powstać mogące z powodu schadzek związkowych. Na pierwszym posiedzeniu dykasteryi, wybrano przewodniczącym Hugona Wiśniowskiego, który równocześnie piastował godność mistrza łoży lwowskiej, zaś

Nowickiemu poruczono znoszenie się z Węglarstwem zagranicznym.

Najwięcej stosunkowo trudności przedstawiało dla dykasteryi lwowskiej utrzymanie stosunków z porębami, istniejącymi na prowincyi. Posiedzenia bowiem dykasteryi odbywać się mogły jedynie w terminie dogodnym dla członków, stale przebywających we Lwowie, więc też wobec trudności komunikacyjnych, nie było i mowy o przybywaniu na owe zebrania delegatów z porębów prowincjonalnych. Dlatego też poręby, działające na prowincyi, obierały jednego z członków dykasteryi za swego rzecznika i za jego pośrednictwem znosiły się stale z władzą naczelną. Mieli też węglarze polscy pewne, umówione znaki, zapomocą których poznawali się między sobą. Należały do nich: pręt ucięty w poprzek na ukos, albo też narysowany na kawałku papieru pień ściętego drzewa, wreszcie przyciśnienie małym palcem ręki drugiego podczas podania mu dłoni, przy powitaniu

Wśród węglarzy lwowskich młodzież była bardzo licznie zastąpioną. W jej kołach największego zażywał miru Kazimierz Grocholski, który, mimo młodego wieku, jeszcze jako uczeń wydziału prawniczego, wywierał wpływ poważny na swych towarzyszków. W postępowaniu jego nie znalazł się ni ślad lekkości i zmienności młodzieńczej. Takt, powaga i stałość w zasadach umiarkowanych cechowały charakter Grocholskiego. Jemu też powierzyła dykasterya kierunek uczącej się młodzieży, której zaufanie niebawem udało się pozyskać Grocholskiemu. Nie wtajemniczał on młodszych kolegów do związku, lecz odwoził ich od marnotrawienia czasu w kawiarniach i traktyerniach, zachęcał do wspólnego czytania dzieł, głównie z dziedziny historyi polskiej, tworząc w ten sposób wśród nich grupy, poświęcone nauce, a dalekie na razie po



rozpraw politycznej treści. Obok Grocholskiego skupił się niebawem wybór młodzieży lwowskiej, różnej temperamentem i usposobieniem, lecz ożywionej wspólną, patryotyczną ideą. Należeli do tego grona między innymi: Ferdynand Runge, Jędrzej Zawadzki, Karol Janko, Albin Dunajewski, Eugeniusz Chrzastowski i Leander Pawlikowski, którzy pomagali Grocholskiemu w jego pracy, zachęcając młodzież do poważniejszych, umysłowych zajęć, poza obrębem murów szkolnych. Mimo wszelkich zabiegów i zalecaniej przez przewodników młodzieży ostrożności w postępowaniu, powtarzały się od czasu do czasu rewizye i aresztowania w kołach akademickich; policya szukała zabronionych broszur, oraz poezyj i pilną zwracała uwagę na tych młodzieńców, których podejrzewała o udział w knowaniach spiskowych. Jedną z jej pierwszych ofiar był akademik Emil Korytko, obwiniony o rozpowszechnianie tajnych druków, tłoczonych w drukarni Zakładu Ossolińskich i wywieziony do Lublany, gdzie też wśród obcych życia dokonał. Policya przejmowała i czytała listy, odbierane z poczty przez młodzież, a czasem najobojętniejszej treści wzmianka — stawała się przyczyną aresztowań i śledztw, wlokących się w nieskończoność. Głośnym w swoim czasie był wypadek uwięzienia Augusta Bielowskiego. Aresztowano go na podstawie listu, pisanego do niego przez Lucyana Siemieńskiego, który mu donosił o poznanym w Nastasowie, u Szeliskich, architekcie. Ten wyraz: architekt — zaniepokoił stróżów legalnego porządku we Lwowie, którzy utrzymywali, że pod tem mianem ukrywa się jakiś wysłannik emigracyi, przybywający z Francyi. Wsadziwszy przeto za kraty Bielowskiego, uwięziono następnie obu braci Siemieńskich, oraz budowniczego Czarneckiego, człowieka najspokojniejszego pod słońcem, którego Lucyan Siemieński wymienił

jako owego architekta. Po dwumiesięcznem śledztwie policyjnym uwolniono aresztowanych — z wyjątkiem Bielowskiego, który, oskarżony o zbrodnię zdrady stanu, przesiedział się półtora roku w kryminale, by odzyskać wolność — dla braku dowodów winy... Podobnych wypadków nie brakło w owym czasie. Aresztowanie bezpodstawne i przetrzymanie uwięzionego przez kilka miesięcy pod kluczem, bez jakiegokolwiek śladu przestępstwa, stawało się rzeczą najzwyczajszą w życiu codziennem Lwowa. Dopiero aresztowanie Hugona Wiśniowskiego, oraz należącego do związku Ludwika Jabłonowskiego, właściciela Lubienia, zarządzone w pierwszych dniach marca 1835 r., wywołało poważniejsze obawy w gronie związkowych, a równocześnie rozesała policya na wszystkie strony listy gończe za Teofilem Wiśniowskim.

Teofil Wiśniowski wystąpił już z początkiem roku 1835. z grona dykasteryi lwowskiej, gdyż, objawszy zarząd interesów majątkowych Henryka Broniewskiego, właściciela dóbr ziemskich, nie mógł stale przebywać w mieście, a nadto, dykasterya poruciła mu do spełnienia pewne, ważne czynności na prowincyi. Opuściwszy Lwów, jeszcze w lutym t. r. krążył Wiśniowski po kraju, lecz nikt nie wiedział, w których stronach się obraca. Zawiadomiony o wysłaniu listów gończych, pospieszył Bogdański, który w dykasteryi zajął miejsce Teofila, do mieszkania Broniewskiego, by go uprzedzić o grożącym Wiśniowskiemu niebezpieczeństwie. Było to w dniu piątym marca. Służba wskazała Bogdańskiemu pokój, zajmowany zazwyczaj przez Wiśniowskiego, gdzie za otwarciem drzwi, przedstawił mu się widok wcale niespodziewany. Oto w obecności pana domu policya przetrząsała ruchomości Teofila. Przybyły zmieształ się, uczuwszy, że wpadł w pułapkę, z której wybawiła go jedynie przytomność

umysłu Broniewskiego. Ten bowiem, nie dawszy przyjść do słowa żadnemu z policyjnych funkcyonaryuszów, wydał Bogdańskiemu dyspozycyę, gdyby swemu oficyaliście i kazał mu precz odejść... Bogdański wymknął się co rychlej na ulicę, lecz widocznie poznał go któryś z policyantów i zapamiętał owe spotkanie, gdyż w parę miesięcy później, po aresztowaniu Bogdańskiego, przypomniano mu w śledztwie policyjnym bytność w pokoju Wiśniowskiego podczas rewizyi. Oczywiście, badany wyparł się wszystkiego i wówczas stawiono mu do oczu Broniewskiego. Ale szlachcic, nie w ciemę bity, oświadczył, że Bogdańskiego nigdy w życiu nie widział, oraz, że podczas rewizyi przyszedł do pokoju jego pisarz prowentowy, którego już dawno ze służby oddalił.

Mniej szczęśliwym był Wiśniowski, mimo wszystkich środków, przedsięwziętych przez związkowych, celem ocalenia go przed pościgiem policyi lwowskiej. Ponieważ nie wiadzano ani dnia jego powrotu, ani też nie domyślano się którym gościńcem przybędzie do Lwowa — o komunikacyi kolejowej nikomu się jeszcze wówczas nie śniło — przeto spiskowcy czuwalili przed rogatekami, by ostrzedz przyjeżdżającego o grożącym mu niebezpieczeństwie. Przez dni kilkanaście z rzędu powtarzały się owe czaty, lecz ostatecznie przypadek omylił czujność związkowych, którzy wiedząc, iż Wiśniowski nie zwykł był powracać nocą, pewnego dnia, o późnej godzinie wieczornej, opuścili swe stanowiska. W chwilę potem nadjechał janowski gościńcem Wiśniowski i wpadł w ręce policyi, czuwał na jego przybycie przy rogatce. Zabrano go wraz z bryczką, na której znalazła się paka książek zakazanych, przysłanych świeżo z Francyi — do kryminału.



Mimo rygoru, jakim brutalny prezydent sądu kryminalnego, Pressen, otoczył więźniów stanu, zdolało się niebawem dowiedzieć w mieście, że powodem aresztowania obu Wiśniowskich, tudzież Jabłonowskiego, była gadatliwość jednego z uczestników dawnego związku Przyjaciół ludu, krawca Bilińskiego, który zawiadomiony przez towarzyszków o rozwiązaniu tej konspiracyi, wygadał się o jej istnieniu wobec urzędników policyjnych i podał nazwiska znanych mu związkowych. Ponieważ jednak denuncyant nie zgodził się na stawianie oskarżonym do oczu, przeto łatwo im było wyprzeć się wszelkiego udziału w tajnem stowarzyszeniu, tem bardziej, że oprócz zeznań Bilińskiego nie posiadał sąd żadnych dowodów przeciw nim świadczących. Mimo to zatrzymano ich w więzieniu, pod zarzutem, iż musieli uczestniczyć w wyprawie Zaliwskiego aż do chwili ukończenia procesu w sprawie partyzantów. Przeciw Teofilowi Wiśniowskiemu podniesiono nadto oskarżenie, iż schwytany został na gorącym uczynku przemycania książek zakazanych, celem rozpowszechnienia tychże i rozbudzenia w tej drodze nienawiści przeciw rządowi. Obwiniony tłumaczył się, że w pewnej karczynie przy gościńcu oddał mu znalezioną na jego bryczce pakę nieznaną jakiś podróżny, nie mówiąc, co ona zawiera, do przechowania. Sprowadzony do śledztwa karczmarz, stwierdził w rzeczy samej, że do gospody jego zjechał równocześnie drugi jakiś pan, który z nich jednak przywiózł ową pakę i o czem z sobą podróżni rozmawiali — tego świadek nie wiedział. Radca Maurycy Wittman osławiony z swej nienawiści i zacięłości przeciw Polakom, prowadzący śledztwo Wiśniowskiego, nie omieszkiał w tem zeznaniu dopatrzeć się sprzeczności z opowiadaniem więźnia i w swojej obecności kazał mu wyliczyć piętnaście kijów... Nadto,

na wniosek Wittmana, skazał sąd kryminalny Teofila Wiśniowskiego za naruszenie spokojności publicznej, na najwyższą, przepisaną karę, pięcioletniego więzienia. Atoli najwyższy sąd wiedeński zniósł ten wyrok dla braku dowodów winy i obaj Wiśniowscy, wraz z Jabłonowskim, zostali wypuszczeni na wolność w czerwcu 1836 roku.

Teofil opuścił niezwłocznie Lwów i udał się do brata Jana, który jako urzędnik podatkowy, przebywał w Zabłotowie i mieszkał u niego przez kilka miesięcy \*). Wówczas to powierzono mu przeprowadzenie interesów prawnych spadkobierców, pozostałych po ś. p. Antonim Bieńkowskim, któremu króciuchną wzmiankę musimy poświęcić. Bieńkowski, głośny z początkiem tego wieku prawnik, osiadły w Stanisławowie, zaliczał się obok Węgleńskiego, Hafniarskiego, Nowakowskiego i Dzierzkowskiego do najbieglejszych mecenasów galicyjskich, którzy wobec nieuregulowanych jeszcze stosunków ekonomicznych tej prowincyi, stanowili w kraju istną potęgę, trzęśli trybunałami i zdobywali krociowe fortuny. Za przykładem Węgleńskiego, wszedł też Bieńkowski do służby Królestwa kongresowego i pod koniec życia zasiadł jako kasztelan w senacie. Był to mąż pełen zasług i rzadkiej zaacności — jak go charakteryzuje w swych pamiętnikach pani Bogusława z Dąbrowskich Mańkowska, z której ojcem, twórcą legionów, pozostawał kasztelan w stosunkach zażyłej przyjaźni. O niezależności zdania i odwadze cywilnej Bieńkowskiego, świadczy najdosadniej jego starcie

---

\*) Jan Wiśniowski, zmarły około r. 1877 w Zabłotowie, był ojcem nieżyjących już obecnie Maksymiliana i Alojzego Wiśniowskich, tudzież tyle zasłużonej w dziejach odrodzenia Czech, Honoraty Zappowej.

z generałem Wincentym Krasieńskim podczas pamiętnego sądu sejmowego. Bieńkowski wystąpił wówczas z wymowną obroną podsądnych, na co z ust generała usłyszał ironiczną uwagę: To po adwokacku, mości kasztelanie! Nie pozostał mu dłużnym w odpowiedzi były mecenas stanisławowski, a czyniąc aluzję do znanego serwilizmu Krasieńskiego, okazywanego wobec w. księcia, odciął się trafnie generałowi, mówiąc: A pan sądzisz po kozacku, mości wojewodo! Śmiała ta odpowiedź obiegła wówczas całą Polskę. Po upadku rewolucyi listopadowej, powrócił Bieńkowski do Stanisławowa, gdzie zmarł nagle, otruty — jak głoszono — przez jedną z swych przyjaciółek, gdyż słabostkę dla płci pięknej zachował pan kasztelan do ostatnich chwil życia. Po jego śmierci, obszerne dobra Bieńkowskiego, w braku spadkobierców w prostej linii, dostały się w podziale dalszej rodzinie. I tak bratanek jego, Marceł Bieńkowski, były oficer wojsk polskich, otrzymał Gody, siostrzeniec Wolski Cucylów, zaś, resztą majątku podzieliły się bratanice nieboszczyka, cztery siostry Bieńkowskie. Najstarsza z nich, Domicela, zamężna Grossowa, przebywała w Kurlandyi, drugą była Kornelia, zaślubiona później Wiśniowskiemu, dziedziczka Majdanu górnego, trzecią Julia, zamężna Piwko, właścicielka Słobódki leśnej, podczas gdy najmłodsza z siostr, Maryanna, w której kochał się podobno Maurycy Gosławski, zgasły przedwcześnie w kryminale stanisławowskim, zmarła panna.

Kornelia Bieńkowska, chowała się w domu Winnickich, bywała w wielkim świetcie i pozostawała w ściślejszej przyjaźni z Klementyną hr. Międzybóską, matką hrabiny Włodzimierzowej Dzieduszyckiej. Panna piękna i posażna, nie wahała się wszakże oddać ręki ubogiemu prawnikowi, który, jako skompromitowany politycznie, nie mógł pod ówczesnym rządem ubiegać



się choćby o stanowisko adwokata. To też nowożeńcy osiedli po ślubie w Majdanie, lecz zaledwo pół roku trwało ich pożycie, które też było jedyną jasną chwilą w życiu Teofila. W roku 1838 — jak zeznał w późniejszym śledztwie — otrzymał Wiśniowski list bezimienny ze Lwowa, z ostrzeżeniem, iż grozi mu ponowne uwięzienie. Tak było w istocie. I tym razem, podobnie jak przed trzema laty, padł Teofil ofiarą denuncyacji, której autorem był Dezydery Hreczański, ksiądz grecko-katolickiego obrządku. W roku 1834, jako kleryk ruskiego seminarium we Lwowie, należał on do roty tak zwanego związku bezimiennego, wraz z Michałem Ohrymowiczem, Michałem Pokińskim, Teodorem Kulezyckim, Sylwestrem Miejskim, Michałem Minczakiewiczem, Romualdem Krzyżanowskim i Michałem Gadzińskim. Całe to grono i po otrzymaniu święceń kapłańskich brało udział w następnych przeobrażeniach konspiracji spiskowej, z wyjątkiem Hreczańskiego, który, po opuszczeniu murów seminarzyckich, począł od czasu do czasu zdradzać objawy choroby umysłowej. Mimo to konsystorz powierzył mu zarząd parafii w okolicy Stryja, a biedny obłąkaniec, ożeniwszy się niefortunnie, coraz to częściej zapadał na zdrowiu, lecz cierpienia jego były tego rodzaju, że raczej szkodliwym był dla siebie samego, aniżeli dla innych. Traf nieszczęśliwy zdarzył, iż w lecie 1838 roku, zetknął się Hreczański, w pewnym sąsiedzkim domu, z dawnym swym kolegą, księdzem Ohrymowiczem, a posprzecawszy się z nim, opuścił nagle zebranie i w przystępie chorobliwego rozdrażnienia, pospieszył do najbliższego mandataryusza, wobec którego złożył jak najszczegółowsze zeznania o wszystkich robotach spiskowych, począwszy od roku 1834. Mandataryusz odesłał odnośny protokół do cyrkułu stryjskiego i niebawem wszyscy dopiero wy-



PIWÓR W MAJDANIE GÓRNYM.

mienieni księży ruscy znaleźli się w lwowskim kryminale. Zaraz też uwięziono piwowara Jana Prohaskę a za Teofilem Wiśniowskim, którego Hreczański wskazał jako jednego z głównych agitatorów wśród ruskich kleryków, rozesłano ponownie listy gończe po całym kraju. Na razie jednak ścigany uszedł bezkarnie, gdyż już w październiku 1838 roku znalazł się na ziemi francuskiej. Tymczasem tak zwana sprawa księży ruskich dostarczyła władzom śledczym pożądanego żeru. Po dłuższym procesie, w ciągu którego biedny Prohaska zmarł w więzieniu, zapadły wyroki, skazujące aresztowanych na karę więzienia w Grajgórze od roku do czterech lat. Hreczański, jako donosiciel, wyszedł z procesu obronną ręką.

O Wiśniowskim wieść wszelka zaginęła. W opustoszałym majdańskim dworze oplakiwała stratę jego strapiona żona. Dla Kornelii był Teofil stracony na zawsze. Żył odtąd i pracował tylko dla ojczyzny!

## II.

Wychodźstwo nasze — pisał w przededniu styczniowego powstania ś. p. Józef Szujski — było je dynym w swoim rodzaju objawem dziejowym. Znać to po wielkich jego dziełach umysłowych, po jego wielkiem, międzynarodowem znaczeniu, po jego potężnym a długoletnim wpływie na naród. Kto lekko-myślnie rzuca się na sądzenie tak wielkiej rzeczy, jaką była emigracya polska, ten zdradza, iż nie ma wyobrażenia o jej stanowisku i o jej doli. Pokazuje, że nie umie się wżyć w wyjątkowe położenie nieszczęsnych rozbitków, namiętnych miłością ojczyzny, opanowanych boleścią strasznego zawodu, którzy oddaleni od wszystkiego, co im było drogie, znaleźli się nagle na wygnaniu, wśród narodu, oddychającego pełnią a nawet swawolą wolności, żyjąc tylko jedną



myślą, myślą o kraju i o jego wyswobo dzeniu. Wielkie błędy i grzechy emigracyi, które nie na jednym tylko obozie ciążyą, zasługują niezaprzeczenie, aby je zapisać na żałobnych kartach naszych dziejów, ale zanim ryczałtem potępimy winnych, porachujmy się dobrze, czy w kraju nie panowały jeszcze większe przeciw duchowi narodu grzechy: gnuśność, obojętność, brak myśli o dobru publicznem. Strzeżmy się zatem robić kozła ofiarnego z emigracyi i wzniesmy się do tego wielkiego uczucia, które się wyrozumiałością nazywa.

Bo też w istocie zrozumieć, wmyślić się głęboko należy w usposobienie rozbitków z listopadowej rewolucyi, tak wspaniałe rokującej z chwilą rozpoczęcia walki nadzieje. Zawód, wywołany upadkiem powstania, spowodował wśród emigracyi tendencję wzajemnego obwiniania się, podzielił ją na dwa walczące, wrogie obozy. Namiętności stronnice potęgowały się pod wpływem walki, w ciągu której zaostrzały się coraz to bardziej krańcowe hasła, dzielące walczących. Nie bez wpływu też na wygnańców pozostały legitymistyczne z jednej, a socyalistyczne z drugiej strony doktryny, które, wyhodowane nad Sekwauą, posiadały dla Francuzów północy — jak nas grzeźcznie podówczas tytułowano — tyle ponętny urok nowości. Uwzględnić nadto należy zupełne niemal zerwanie komunikacyi z krajem, odcięcie od tradycyi narodowych, brak wiadomości o rzeczywistym stanie ojczyzny, a wówczas zrozumiemy ten nieustanny niepokój, te waśnie i walki stronnictw, szarpiące łono naszego wychodźstwa.

Walka stronnictw na wychodźstwie odbywała się w dwojaki sposób: żywym słowem, wśród zawiązywanych przez oba stronnictwa stowarzyszeń oraz drukiem, za pośrednictwem publikacyj peryodycznych tudzież broszur ulotnych, wydawanych przez oba obozy.

Pierwszym zawiązkiem organizacyi emigracyjnej był powstały w listopadzie 1831 roku komitet, na którego czele stanął ostatni prezes rządu narodowego Bonawentura Niemojewski. W gronie komitetowych znaleźli się: Joachim Lelewel, Teodor Morawski, Franciszek Wołowski i Katobery Tymowski, zamierzając w ten sposób podtrzymywać na wygnaniu ideę kierowniczą upadłego powstania. Ale byt tego ciała nie przetrwał i miesiąca, ustępując miejsca zawiązanemu w dniu ósmym grudnia t. r. komitetowi Lelewela, który za swe zadanie ogłosił: czuwanie nad interesem narodowym oraz nad losem wygnańców, przemawianie w ich imieniu, wreszcie znośenie się z krajem, tudzież z komitetami dla sprawy polskiej zawiązanymi. Komitet Lelewelowski wręcz wystąpił przeciw systemowi kierowniczemu ostatniej władzy narodowej, zarzucając jej niewiarę we własne siły i zbytne zaufanie w skuteczność, obcej interwencji. O ile jednak stanowczym okazał się ów komitet w wydawaniu wyroków, potępiających najbliższą przeszłość, o tyle chwiejne, niezdecydowane było jego postępowanie w sprawach bieżących. Nie chciał bowiem ani narażać się rządowi, ani też zrażać sobie rewolucjonistów. Ten połowiczny kierunek przyspieszył powstanie Towarzystwa demokratycznego polskiego, którego twórcami byli dwaj malkontenci z grona komitetu Lelewela: Krępowiecki i Gurowski. tudzież trzech wychodźcy: J. N. Janowski, J. R. Płużański, oraz ksiądz Puławski. Stworzone przez nich Towarzystwo wypowiadało jawnie i stanowczo potrzebę otwartego, śmiałego i ścisłego zjednoczenia się z rewolucyjnymi żywiołami Europy, w których upatrywało jedyną nadzieję wyzwolenia ojczyzny. Organizacya ta, nieliczna na razie, nie budziła też poważniejszych obaw w gronie zachowawczych żywiołów, zastąpio-

nych dość silnie wśród emigracyi, a dążących przede-  
wszystkiem do obalenia komitetu Lelewela. Przeci-  
stawiono mu komitet Dwernickiego, zorganizowany  
w październiku 1832 r. i wobec popularności zwycięzcy  
z pod Stoczka, liczba zwolenników Lelewela zmniej-  
szała się z dniem każdym, zaś z końcem tegoż roku,  
władza formalnie rozwiązała powstałą pod jego prze-  
wodem organizację.

W roku następnym, walka między partią kon-  
serwatywną a demokratyczną wystąpiła chwilowo na  
szerszą widownię, z niewielkim, co prawda, dla imie-  
nia polskiego pożytkiem. Chcąc ująć w karby woj-  
skowej dyscypliny niesforne żywioły, podniesiono myśl  
formacyi legionów zagranicznych, pod dowództwem  
generała Bema. Zgłosiło się zaledwo kilkun-  
tu ochotników. Niezrażony tem niepowodzeniem, udał się  
Bem w maju 1833 roku do Portugalii, gdzie toczyła  
się podówczas walka między Dom Pedrem, księciem  
Braganca, opiekunem małoletniej Donny Maryi a Dom  
Miguelem. Pierwszy przedstawiał kierunek konstytu-  
cyjny, drugi absolutny. W nadziei, że dawni jego to-  
warzysze broni z chęcią walczyć będą za zasady kon-  
stytucyjne, zawarł generał w dniu dziewiętnastym  
maja 1833, w Oporto umowę z markizem de Loulé,  
portugalskim ministrem-sekretarzem stanu, podejmu-  
jąc się uformowania legii królowej Maryi II. Legion  
miał liczyć co najmniej 1.694 szeregowców i podofi-  
cerów, z mundurem narodowym i o portugalskiej ko-  
kardzie. Prócz pułku piechoty liniowej, w skład pro-  
jektowanego oddziału wchodzić miały: batalion strzel-  
ców litewskich, batalion strzelców wyborczych, (zło-  
żony z nadliczbowych oficerów), trzy dywizyony ka-  
waleryi, dwie brygady artyleryi i jedna kompania  
inżynieryi. Korpus oficerski miał się składać wyłącznie  
z Polaków i polski generał stać miał na czele legionu.



Polska komenda, żołd i rangi na równi z wojskiem krajowem, zaopatrzenie rannych i sierot, pozostałych po poległych, służyć miały legionistom według przepisów, obowiązujących w armii portugalskiej. Wszystkie te przywileje miały być zachętą dla ochotników polskich, zaciągających się w szeregi legionu Donny Maryi. Legion i po pomyślnem ukończeniu walki, tworzyć miał korpus oddzielny, a w razie, gdyby ochotnicy po wzięciu Lizbony, zamierzeli opuścić Portugalie, rząd przyrzekał im dostarczenie potrzebnych na podróż funduszków. Ostateczny termin do formacyi legii oznaczony został na koniec sierpnia t. r.

Po zawarciu i ratyfikacyi konwencyi przez Dom Pedra, powrócił Bem do Paryża gdzie w dniu 24 czerwca t. r. wydał cztery proklamacye do wojskowych polskich różnej broni. Treścią wspólną owych odezw była zachęta do zaciągania się w szeregi legionu „Emigracya, reprezentując naród“ — słowa odezwy — „w samych zasadach nawet szukać powinna nowej dzielności, aby jej powołanie wywalczenia Ojczyzny nie było uszkodzone. Reprezentanci narodu, odpowiadając powołaniu swemu, czuwać będą nad przyszłymi losami Polski i wystąpią, jak tego potrzebę uznają. Tymczasem niech pisarze i uczeni działają na Europę pismem i drukiem, opowiadając niedolę naszą, oświecając narody o potrzebie przywrócenia Polski całej, wolnej i niepodległej, jeżeli się od najeźdźcy barbarzyńców pragną zasłonić. Młodzież, sposobiąca się do usług cywilnych kraju swego, niech korzysta we Francyi ze sposobności doskonalenia się w naukach. Wojska zaś polskiego jest powinnością formować reprezentacyę zbrojną, gdziekolwiek sposobność tego dozwoli i gromadząc się razem, wojować, gdzie tylko o niepodległość i wolność rzecz idzie, aby tym sposobem i sprawę wolności po Europie rozpo-

wszechniać i młodzieży, mającej powołanie do wojskowości, otwierać pole do rozwijania swoich talentów i doskonalenia się w tym stanowczym dla Polski zawodzie. A kiedy waleczność i chlubne czyny wojowników polskich powiększać będą sympatyę narodów, wtedy słowa pisarzy i reprezentantów naszych, ostrzem żelaza popierane, tem dzielniejszy odgłos mieć będą !...”

Proklamacye Bema, pełne energii i zapału, nie wywołały wśród wychodźców spodziewanego wrażenia. Przeciwnie, wywołały głosy protestu, odradzające Polakom zaciąganie się do legii i odmawiające jej organizatorowi prawa do podpisania wiadomej konwencji. Pełną godności na te rekryminacye, była odpowiedź generała, który wskazując na śmieszność podnoszonych przeciwko niemu zarzutów, jakoby formacyą legionów zamierzał zabić istnienie emigracyi, tłumaczył równocześnie, że żadnego upoważnienia od nikogo nie potrzebował, ponieważ nie zawierał umowy w imieniu całego wychodźstwa. „Zresztą każdemu wolno mówić, co za użyteczne dla siebie uważa” — czytano w odpowiedzi Bema — „ale o tem pamiętać byśmy powinni, że ktokolwiek dobrym i zbawiennym celom i czynnościom na przeszkodzie stawia, kiedyś przed trybunałem narodu sprawę zdać będzie musiał...” Spokojna ta odprawa nie zdołała przekonać ogółu wychodźców, podburzonego przeciw niemu przez niepokojne duchy, a gdy generał, w połowie lipca t. r. pojawił się w Bourges, wydała Rada tamtejszego Zakładu Polaków pismo, ostrzegające go, by zamiaru swego zaniechał, jako „uwłaczającego charakterowi emigracyi i wierze Polaka !...” Także wysłannicy Bema doznawali wszędzie jaknajgorszego przyjęcia, wobec czego generał zamierzył osobistym swym wpływem zwalczać uprzedzenie, panujące wśród wychodźców przeciw portugalskim legionom. Zaledwo jednak z Bour-

ges przybył do Melun, gdy jeden z ziomków targnął się na jego życie...

Wówczas to pojawił się pamiętny manifest księcia Adama Czartoryskiego, ogłoszony w dniu 21 lipca t. r., w którym ten patriarcha wychodźstwa polskiego uznał za obowiązek prawego Polaka „oświadczyć szczerze i rozmyślnie, iż formację legii polskiej w ogólności, a w tej chwili legii polskiej w Portugalii, uważa za mogącą być korzystną i chlubną dla sprawy polskiej, równie jak prowadzącą do zachowania w porządku i zbrojnej gotowości pewnej części emigracyi, coraz mocniej w niniejszem położeniu narażającej się na dyssolucyę moralną i stratę nabytej sławy...“ Przy tej sposobności napiętnował ksiązę zamach na życie Bema jako dowód opłakany „zapamiętałości, natchnionej obcym chyba, a zapewne nie polskim duchem“. Oświadczenie to wszakże nie przeszkodziło dalszym, wrogim Bemowi agitacyom. Członkowie polskiego Zakładu w Bourges wyrazili publiczną „pogardę“ dla Czartoryskiego i Bema, zaś zakład w Chateauxroux ogłosił generała służalcem tyranów...

Legia portugalska nie przysłała do skutku, podobnie jak na niczem spełzła misya generała Dembińskiego, podjęta równocześnie do Egiptu. Korzystając z propozycyi Mehmeta-Alego, ówczesnego paszy egipskiego, co do reorganizacyi jego armii, udał się Dembiński do Kairu, podczas gdy w Paryżu rozpisano werbunek polskich oficerów do armii egipskiej, z których część pewna odpłynęła już na miejsce przeznaczenia. Intryga wszakże dyplomacyi rosyjskiej, przeszkodziła urzeczywistnieniu zamiarów generała, który widząc, iż mimo najlepszych chęci nie zdoła spełnić swego zadania, podał się do dymisyi. Mehmet-Ali polecił wypłacić Dembińskiemu żołd półroczny, ale wódz nie przyjął ofiarowanej mu sumy.



— Straciłem podczas powstania cały majątek — odpowiedział wysłannikowi paszy — lecz tyle mi jeszcze zostało, że ani tu, ani we Francyi, nie potrzebowałem żadnych zasiłków. Nie byłem tyle użyteczny, ile być chciałem, ani też nie pracowałem tak, jak zamierzyłem.

Mimo to pasza odesłał mu dnia następnego całą należność przez swego ministra Bogosa, który usilnie namawiał Dembińskiego, by nie obrażał jego pana odmową przyjęcia pieniędzy, które się mu słusznie należą. W końcu generał zniecierpliwiony uporczywem naleganiem, odparł w te słowa:

— Jeżeli ta suma ma być moją, przeznaczam ją dla ziomków, którzy zawiedzeni obietnicami, przybędą tutaj. Dajcie im zasiłek na powrotną drogę.

Jakoż, nie przyjąwszy ani grosza żołądu, wspierał Dembiński z własnych funduszków ziomków, zabłąkanych w Egipcie i odnowił swoim kosztem pomnik Sułkowskiego, adjutanta Napoleona, poległego podczas rewolucyi w Kairze.

Tak więc myśl legionów znalazła częściowe urzeczywistnienie jedynie w Algierze, dokąd udało się 228 wychodźców, zbiegłych z niewoli pruskiej do Anglii.

Tymczasem Towarzystwo demokratyczne rosło w siły. Przeniesione w roku 1834 z Paryża do Poitiers, liczyło w roku następnym tysiąc dwieście członków i postawiwszy na swem czele władzę centralną, zamierzyło oddziaływać także na kraj. Partya konserwatywna, zaniepokojona tak szybkim wzrostem nieprzyjaźnego jej stronnictwa, które zaraz po swem powstaniu rzuciło między ogół emigracyjny hasło: Bóg dał ziemię dla wszystkich, postanowiła rozbić Towarzystwo. Gdy zawiązaną w tym celu Konfederacyę, rozpędził rząd, powstawały za sprawą stronnictwa arystokratycznego, kupiącego się koło ho-

telu Lambert, krótkotrwałe organizacje Kosynierów i Wyjarzmieli, gdy równocześnie w publikacjach partii zachowawczej, w „Kronice“ i w „Trzecim maju“ propagowano gorliwie myśl stworzenia dynastji narodowej, która miała się okazać najdzielniejszym środkiem do odzyskania niepodległości ojczyzny. Około „Trzeciego maja“ skupiło się w latach następnych (1842) grono przyjaciół i fundatorów tego pisma, tworząc pół jawne, pół tajne stowarzyszenie, pod prezydencją kasztelana Olizara. Wcześniej, bo już w roku 1838, powstało wśród wychodźstwa „Zjednoczenie“ organizacja stworzona przez tak zwaną partję szlachecką, która odłączyła się wprawdzie z pod hegemonii arystokratycznej, lecz niemniej wrogą była demokracji, jakkolwiek w pierwszych latach swego istnienia głosiła zasady wielce postępowe, jak: usamowolnienie i uwłaszczenie włościan, tudzież wolność oświaty i wyznania. Zjednoczenie, połowiczne w zasadach, niedołążne w wyborze środków, nie mogło zyskać punktu oparcia, ani wśród wychodźców, ani też tem bardziej w kraju, gdzie je ubiegło Towarzystwo demokratyczne.

Bo też zasady demokratyczne wówczas najbardziej ujawniały swe wielkie, historyczne uprawnienie, polegające zarówno na niedołążtwie i niesprawiedliwości, reprezentowanej przez dawną szlachetczyznę, jak na nadużyciach możnowładzców, na upadku polskiego włościanstwa, a braku stanu trzeciego. Prócz w idei postępu, podnoszącej i rozwijającej narody, nawet w upadku pogrążone, stronnictwo demokratyczne, tak na emigracji, jak w kraju, zyskiwało naturalną podporę w żywiole szlacheckim, który nie zapomniiał swych dawnych, zdrowych tradycyj, dążących do równości obywatelskiej. To dążenie do równości starszem było od wszelkich haseł nowoczesnej demokracji, gdyż

było ono wynikiem odwiecznych pragnień prastarego, słowiańskiego szczepu. Tym też czynnikiem zawdzięczało Towarzystwo demokratyczne swą ówczesną żywotność i siłę, a oparłszy się na związku z rewolucyjnymi żywiołami Europy — wypowiedziało otwarcie swój program w manifestcie z dnia 17 marca 1832 r. „Europa, na której wsparciu Polacy mogą swojej przyszłości budować nadzieje“ — słowa manifestu — „dziś nowemi o stosunkach towarzyskich ożywiona wrażeniami, na nowych się organizuje zasadach, nowe warunki politycznemu swemu wskazuje istnieniu. By przeto w niej istnieć, jej podobnym być trzeba. Zrzuca ona już ostatnią szatę, zaciemnionej egoizmem, kona-jącej przeszłości i czyni wieczny rozbrat z wyobrażeniami przywilejów wszelkiego rodzaju. Tak więc i Polak, skoro do niej odwoływać się zechce, rozstać się winien z ową przeszłością, która go zgubnemi dla szczęścia ogółu napawała wyobrażeniami i by przy szle uzyskać życie, tę przyszłość przedstawiać, wyobrażać powinien“.

Program Towarzystwa co do Polski, znalazł jeszcze dobitniejszy wyraz w manifestcie, noszącym datę dnia 4 grudnia 1836 r. a zaopatrzonym w 1.135 podpisów. Obszerny ten akt, ułożony za wspólną zgodą wszystkich członków Towarzystwa, oznajmiał światu, że celem stowarzyszenia były: Polska niepodległa i Polska demokratyczna, zawarte w granicach przedrozbiorowych i zdolne do wypełnienia swego wielkiego posłannictwa wśród ludów słowiańskich. Zarazem wypowiadało Towarzystwo walkę wszystkim związkom, opartym na innych podstawach, a dążącym do opanowania władzy i wręcz oświadczało, iż byłego sejmu, gdyby się nawet zebrać zdołał, nie uzna, uważając to ciało za przedstawiciela przywilejów i zaradciela rewolucyi listopadowej. „Dalecy od wszel-



kich ubocznych i z odrodzeniem ojczyzny żadnych nie mających styczności przedsięwziąć, pracować będziemy przez Towarzystwo dla Polski — przez Polskę dla ludzkości... Oświadczamy na koniec, iż daleką jest od nas chęć mordów i pożogi własnego kraju... Gdyby jednak konieczna zmiana porządku społecznego i za nią idąca niepodległość, bez gwałtownych wstrząśnień obejść się nie mogły, gdyby lud musiał być surowym sędzią przeszłości, mścicielem wyrządzonej mu krzywdy i wykonawcą niecofniętych wyroków czasu — my dla garstki uprzywilejowanych nie poświęcimy szczęścia dwudziestu milionów a przelana krew bratnia spadnie tylko na głowy tych, co w zapamiętaniu własny egoizm, nad wspólne dobro i wyjarznienie ojczyzny przeniosą“.

Akt ten był zapowiedzią polityki czynu, którą podjęło w owym czasie Towarzystwo demokratyczne, zorganizowawszy się w styczniu 1836 r. na zasadzie ustawy, uchwalonej na rok przedtem. Członków liczyło Towarzystwo dwojakich: czynnych, bez ograniczenia liczby, oraz korespondentów, przybieranych stosownie do potrzeby i okoliczności. Czynnym członkiem mógł być tylko Polak, korespondentem także cudzoziemiec. Ogół Towarzystwa, złożony z członków czynnych, rozpadał się na sekcye, utworzone co najmniej z pięciu członków, w pewnej miejscowości zamieszkałych. Naczelną władzą, której powierzono ogólny kierunek działań, oraz reprezentacją Towarzystwa, była Centralizacya. W gronie jej zasiadało ośmiu — później tylko pięciu — członków ogółu, wybieranych na przeciąg jednego roku. Do prawomocności uchwał Centralizacyi wymagana była obecność co najmniej trzech członków; uchwały zapadały większością głosów, zaś na zebraniach przewodniczyli kolejno wszyscy jej członkowie, z wyjątkiem sekretarza. Centralizacya była —

jak już wspomniano — jedynym organem, za pośrednictwem którego Towarzystwo wyrażało swą wolę na zewnątrz, lecz nie wolno jej było w niczem odstępować od zasad, celów i środków, przez ogół członków postanowionych.

Pierwsza Centralizacya rozpoczęła swe czynności w styczniu 1836 r. w Poitiers. W składzie jej zasiadali podówczas: Adolf Chrystowski, Robert Chmielowski, Wiktor Heltman, Henryk Jakubowski, Jan N. Janowski, Tomasz Malinowski, Aleksander Moldorf i Lucyan Zaczyński. Niektórzy z tego grona wybierani byli kilkakrotnie w ciągu następnych kadencji, inni zaś ustąpili miejsca świeżym siłom. Po rok czterdziesty szósty uczestniczyli w Centralizacyi, prócz wymienionych powyżej: Walery Breński, Wojciech Darasz, Józef Słowicki, Jan Alcyato, Teofil Wiśniowski, Józef Wysocki, Ludwik Mierosławski, Leon Zienkiewicz i Wincenty Mazurkiewicz.

Jednem z najpilniejszych zadań Centralizacyi było nawiązanie stosunków z krajem, a mianowicie z każdym zaborem z osobna, celem wytworzenia miejscowej organizacyi narodowej. Stosunki owe nawiązywała Centralizacya za pośrednictwem osobnych wysłanników, czyli tak zwanych emisaryuszów, rekrutowanych w znacznej części z grona samejże władzy naczelnej, jakkolwiek od czasu do czasu powierzano tę trudną i w najwyższym stopniu niebezpieczną misję, także osobistościom, upatrzonym w tym celu wśród ogółu członków. Z funduszków, pozyskanych w drodze składek, zbieranych między wychodźcami, część obracano na wydatki Towarzystwa, część zaś przeznaczano na wsparcie potrzebujących pomocy wychodźców, oraz pozostałych po nich rodzin, albo też posyłano zebrane składki pozbawionym rządowego zasiłku emigrantom, przebywającym w Londynie. Nadto, kosztem Towarzy-

stwa, kształcili się niektórzy członkowie w szkole artylerzycko-inżynierskiej w Metz i w szkole sztabu głównego w Paryżu, tudzież wydawano publikacje periodyczne i broszury, mające na celu propagandę zasad demokratycznych. Towarzystwo posiadało własną bibliotekę, tudzież czytelną dzienników, a jakkolwiek w pierwszym dziesięcioleciu, po upadku rewolucyi listopadowej, liczba wychodźców, przebywających na ziemi francuskiej, przewyższała cyfrę pięciu tysięcy głów, to przecież przeciętny, roczny dochód Towarzystwa wynosił zaledwo 22.000 franków. Tem większą przeto była zasługa kierowników Towarzystwa, iż z tak szczupłymi zasobami do tak znacznych doprowadzali rezultatów. Lwią część dochodów rocznych pożerały nakłady, podejmowane przez Centralizacyę, które też stanowiły główny przedmiot jej zajęć. Prócz okólników, zrazu (w latach 1836—7), litografowanych, a później ogłaszanych drukiem, zawierających jak najdokładniejszą kronikę działalności Towarzystwa, tudzież obraz ruchu i rozwoju poszczególnych sekcyj, rozrzuconych na całym obszarze Francyi, wydawała Centralizacya w latach 1837—1840 w Poitiers u Saurina Pismo Towarzystwa demokratycznego, w którym, obok tak zwanej części urzędowej, помещała rozprawy treści historycznej, politycznej lub polemicznej, obchodzące bliżej ogół wychodźców. Dalszym ciągiem Pisma był kwartalnik tejże treści, wydawany od r. 1842 w Paryżu, p. t. Pamiętnik Towarzystwa demokratycznego polskiego, tworzący organ urzędowy Centralizacyi. Ten sam charakter, acz o tendencyi wybitnie polemicznej, posiadał też Demokrata polski, wydawany od roku 1838 w Poitiers, a następnie w Paryżu, którego pierwszym redaktorem był Kazimierz Tomkiewicz, zaś od roku 1842 poczęto wydawać w Paryżu Noworocz-



nik demokratyczny, rodzaj kalendarzyka politycznego, w którym obok części statystycznej, dającej jasne wyobrażenie o stosunkach emigracyjnych, obszerne uwzględnienie znajdowały literatura i poezja. Nie zapomniała też partya demokratyczna o humoryście, tyle pożytecznej w polemice z przeciwnikami politycznymi. Jej objawem był Pszonka, tłoczony w Strassburgu a następnie w Paryżu, w latach 1839 do 1843.

Prócz tych wydawnictw peryodycznych, drukowała Centralizacya, nakładem Towarzystwa demokratycznego, mnóstwo broszur oraz pism ulotnych, tudzież dzieła zawodowe, jak Kurs sztuki wojkowej Józefa Wysockiego lub też poświęcone propagandzie zasad demokratycznych, że wymienimy Katechizm demokratyczny Henryka Kamieńskiego, który przed wybuchem rewolucyi lutowej, krążył z rąk do rąk, po całej Polsce, w tysiącach egzemplarzy, pochłaniany przez młodzież wszelkich stanów i zawodów, gdyby zapowiedź nowej wiary, mającej ją wyzwolic z ucisku i z niedoli. Krótko mówiąc, ani przedtem, ani potem, żaden nasz związek polityczny nie rozwinał tyle ruchliwości i energii, nie przezwyciężył tak olbrzymich przeszkód, ile dokazało Towarzystwo demokratyczne w okresie lat dziesięciu, poprzedzających katastrofę czterdziestego szóstego roku. Niedziw przeto, iż każdy tułacz, który nie stracił jeszcze wiary w odrodzenie ojczyzny i czynem pragnął stwierdzić miłość dla niej, ulegał prędzej, czy później, potężnej sile atrakcyjnej, jaką wywierała wówczas Centralizacya na ogół wychodźstwa i spieszył w jej szeregi.

Tak się też stało z Teofilem Wiśniowskim. Załedwo w jesieni 1838 roku znalazł się w Francyi, gdy oto, już w dniu 20 stycznia roku następnego, za-

ciągnął się do grona sekeyi, istniejącej w Strassburgu, gdzie bawił do kwietnia 1841 r. Już jako członek sekeyi strassburgskiej otrzymać miał Wiśniowski od Centralizacyi w roku 1840 „czasową misję do Galicyi“. Tak przynajmniej utrzymuje okólnik tej władzy, ogłoszony już po zgonie Teofila w *Demokracie* polskim z dnia 20 sierpnia 1847 roku. U nas niestety o owej misyi nie podają żadnej bliższej wiadomości, ani pamiętniki współczesne, ani też źródła urzędowe. Natomiast posiadamy najdokładniejsze wiadomości o powołaniu Wiśniowskiego do naczelnej władzy Towarzystwa demokratycznego. W pierwszym głosowaniu, odbytem w dniu trzecim stycznia 1841 roku — trzech tylko członkowie Centralizacyi uzyskali większość przepisaną, a mianowicie: Alecyato, Heltman i Malinowski, zaś Wiśniowski otrzymał tylko głosów trzydzieści. Celem wyboru dwóch brakujących członków rozpisano uzupełniające głosowanie na dzień siódmy lutego t. r. Ale i tym razem głosowanie pozostało bez skutku, gdyż na 481 głosujących, uzyskał wprawdzie Wiśniowski największą ilość głosów (219), ale absolutnej większości nie osiągnął. Dopiero trzecie z rzędu, odbyte w dniu 14 marca t. r. wybory, wprowadziły Wiśniowskiego, (405 głosami na 496 głosujących), jako czwartego członka do składu Centralizacyi, której piątym uczestnikiem został wybrany w dniu 31 maja t. r. Henryk Jakubowski. Przeniósłszy się z Strassburga do Wersalu, gdzie już od roku rezydowała Centralizacya, zamieszkał Wiśniowski przy ulicy Tournelles, pod numerem ośmnastym, w domu, w którym mieściła się biblioteka Towarzystwa demokratycznego. Wybrany sekretarzem Centralizacyi, objął naczelną redakcyę zarówno *Pamiętnika Towarzystwa* jakoteż *Demokraty polskiego*, którego redakcyę odpowiedzialną sprawował Darasz. Gor-

liwość, z jaką pełnił Wiśniowski swe obowiązki, sprawiła, iż trzykrotnie potem zaszczycono go wyborem do Centralizacyi, (dnia 24 sierpnia 1842 r. — 16 listopada 1843 r. — 16 stycznia 1845 r.), zaś według wspomnianego już poprzednio okólnika, miał on w r. 1843 bawić przez czas jakiś, jako emisaryusz w Poznaniu. Prawdopodobnie jednak, celem ówczesnej misyi Wiśniowskiego nie było wyłącznie Księstwo Poznańskie ale także Galicya. Na przypuszczenie to naprowadziła nas krążąca po dziś dzień w Złoczowskiem opowieść o ukrywaniu się Wiśniowskiego w tych stronach przez czas dłuższy, oraz o pocciwym izraelicie Pinkasie, który mu wówczas używał przytułku. Prawdziwość tej opowieści stwierdza własnoręczna karta Wiśniowskiego, opiewająca jak następuje :

„Żegnam Cię, mój kochany Pinkasie, bo Pan Bóg wie, czyli się więcej widzieć będziemy a oraz dziękuję Ci najczulej za twoją dobroczynność, którąś mi przez sześć miesięcy wyświadczał żywnością i innemi memi potrzebami. Prawdę wyznać mogę niepochlebiając tobie, mój kochany Pinkasie, że przez całe życie moje nie miałem doświadczenia, ażeby w moich potrzebach nietylko katolik mógł mi tyle dopomagać, jak izraelita. Jeżeli się wrócę, to będziesz szczęśliwy a jeżeli nie, to nie zapomnij o mojem imieniu i nazwisku: Teofil Wiśniowski. Jeżeli będziesz w potrzebie, udaj się do obywatelów, Jaśnie Wielmożnych i Wielmożnych Panów a za przedłożeniem imienia mego, ręczę, że żaden wsparcia ci nie odmówi. Józefówka dnia 22 grudnia 1843 roku. Teofil Wiśniowski“. \*)

W późniejszych latach, pocciwy ów Pinkas rzeczywiście zbiedniał do tego stopnia, iż chodził o że-

---

\*) Karta ta znajduje się w posiadaniu p. Jana Garbaczewskiego o w Tarnowie.



branym chlebie, a obywatelstwo, za okazaniem karty Wiśniowskiego, hojną darzyło go jałmużną.

Z początkiem roku 1844 był już Wiśniowski z powrotem w Wersalu, i wówczas to, w redagowanym przez niego Pamiętniku, pojawiła się obszerniejsza rozprawa, nosząca tytuł: Pansławizm, czyli Wszechsłowiańszczyzna (t. III., str. 180—208). Zarówno ze względu na temat rozprawy, jakoteż na okoliczność, że jest to jedyna z ogłoszonych dotychczas drukiem prac Teofila Wiśniowskiego, należy się jej obszerniejsze streszczenie.

Liczne narody słowiańskie — pisze Wiśniowski na czele swego artykułu — pozbawione przez długie wieki niepodległości, zdawały się już niejako zapominać o swem pochodzeniu, o swojej narodowości, kiedy pozostały, jedyny, jeszcze nie podległy, dziewięciowiekowym życiem znamienity, do tejże samej familii należący naród polski, niepodległość swoją utracił. Mogło się wówczas zdawać, że szczep słowiański już zakończył posłannictwo swoje i na Zachodzie zniemczeje, na Południu sturczeje, a na Wschodzie, wcielając się w politykę tatarsko-fińskiego caratu, wyrzeczcie się swej wolności i posłuży za narzędzie do zalania Zachodu Europy dziczą azyatycką. Nie tak się jednak stało. Właśnie ta ostatnia klęska, ostatniemu członkowi familii słowiańskiej zadana, przeciwną oczekiwaniom jej morderców wywołała przyszłość.

Po tym wstępie zaznacza autor, że rozbiór Polski, acz pozbawiający ją politycznego bytu, nie miał przerwać wątku życia wewnętrznego dawnej Rzeczypospolitej, a jakkolwiek dwory rozbiorowe zdołały uzyskać przyzwolenie gabinetów europejskich na czyn przez nie dokonany, to walki o niepodległość, odnawiane tylekroć przez Polaków, musiały im zapewnić sympatyę ludów Europy i wpoić w nie przekonanie,

że sprawa polska jest sprawą wolności. Równocześnie też owe porywy Polaków przeciw ciemnościom, musiały wśród naszych pobratymców wyrodzić pytanie, dlaczego szczep słowiański, tak liczny, uległ przemocy innych, mniej rozrodzonych szczepów, a nawet poddał się władztwu poszczególnych ródzin? Tego rodzaju poszukiwania rozbudziły z wiekowego uspienia południowo-zachodnią Słowiańszczyznę. Rzecz oczywista, iż długi rozdział, różnica wiary i bytu, wywołać musiały u rozmaitych narodów słowiańskich różnorodność interesów, tudzież zapatrywań na przyszłość „Obudziło się wprawdzie poczucie narodowości“ — słowa artykułu — „i popęd do jej uprawiania, ależ trudno, ażeby pojęcie narodowości i jej żywiołów mogło się było przedstawić w całej jasności. Każdy je rozwijał i kształcił, jak mu się najlepiej wydawało, nie wiedząc jeszcze, dokąd dąży i jakim skutkiem usiłowania jego uwieńczone zostaną. Praca ta, trwając przeszło od pół wieku rażniej postępować zaczęła od ostatniej walki o niepodległość Polski. Jest ona po większej części umysłowa, rzadko kiedy odbija się w jakim czynie, bo o tem nie myśłano i chyba gdzieś pomimowolnie, bez wiedzy nawet, słowo w czyn się zmieniło. Pracy tej szukać należy nie w czynach, ale w pismach, jakie w tym czasie pojawiły się i w myślach, jakich z tych pism domniemywać się można. W piśmie niniejszem będziemy się starali, choć w części, przedstawić usiłowania naszych pobratymców, a mianowicie pod myślą, objawiającą się w panslawizmie, czyli Wszechsłowiańszczyźnie, tak pod względem wprowadzenia tej myśli pod różnemi formami w życie, jakoteż jej zaprzeczeniu, chociaż niemożność zebrania wszystkich pism w Słowiańszczyźnie wychodzących i ten przedmiot nam niezupełnie zgłębić pozwoli“

Tu wspomina Wiśniowski o budzącej się wśród zachodniej i południowej Słowiańszczyzny tendencji szukania związków z innymi narodami słowiańskimi, nie pomijając i „owego, pod tatarsko fińskim caratem zostającego“ oraz zwie tę dążność pomysłem młodym, powstałym jedynie z uczucia nieszczęśliwego położenia, na głębszej rozwadze nieopartym. Nadmienia też autor, iż myśl jedności literackiej Słowian pojawiła się po raz pierwszy w druku w roku 1826, a mianowicie w ogłoszonej onego czasu gramatyce Jana Herkela, który ową jedność wszystkich Słowian w dziedzinie piśmienniczej ochrzcił wyrazem: Panslavismus. Z kolei, zaznacza też wystąpienie Kollara, w latach 1830—1837 z teorią o wzajemności literackiej Słowian, w myśl której, każde plemię słowiańskie miałoby, bez naruszenia dotychczasowych stosunków politycznych, uprawiać swój język, oczyszczać go z wszelkiej obczyzny, a zarazem zaznajamiać się z językiem i z literaturą innych; pobratymczych plemion, doskonaląc tem samem własne piśmiennictwo. Kollar sądził, iż wpływ wzajemny piśmiennictw słowiańskich stworzy z czasem jednolitą literaturę wszechsłowiańską, z nieznacznymi tylko odcieniami, na podobieństwo literatury starogreckiej, która była jednolitą, choć obejmowała rozmaite narzecza. I ten pomysł niepodobny do urzeczywistnienia — jak to słusznie zauważył Wiśniowski — przyjęła z zachwytem cała zachodnia Słowiańszczyzna, z wyjątkiem Polaków, a urzędowi literaci rosyjscy nie omieszkali z niego ukuć środka do agitacji politycznej. Pomysł jedności literackiej, zastąpili pomysłem jedności politycznej całego szczepu słowiańskiego i nie brakło zapaleńców, którzy na tem tle jęli snuć swe marzenia

„Mamy przed sobą dokumenty“ — słowa Wiśniowskiego — „w których ta myśl następującym spo-



sobem jest sformułowaną: Słowianie, przez ślepe przyjęcie cudzej myśli, myśli chrześcijańskiej z całym przyborem następstw, z nich wypływających, stracili samoistność duchową i cielesną, służą cudzym bogom i cudzym panom. Nie pomogła jedność rodu, języka i obyczajów, ani męstwo. Brak jednej myśli rodzinnej spowodował rozdrobnienie polityczne na różne narody i narodziki, powstałe i utrzymywane wpływem obcej polityki. I ztąd to wynikło, że narody słowiańskie nie tylko między sobą żyły w niezgodzie, bo często jeden dybał na życie drugiego, ale i to, że je tak łatwo cudzoziemcy kolejno, jeden po drugim ujarzmiali, aż w końcu cała Słowiańszczyzna straciła niepodległość i stała się sługą obcego, który rodowe pierwiastki wytępia, a swoje szczepi. Przeszedłszy tak bolesną szkołę doświadczenia, mamyż jeszcze dłużej trwać w grzechu pierworodnym przodków, nie rzec się samolubstwa?... Aby Słowianie żyć mogli, potrzebują społeczności, na zewnątrz własną potęgą stojącej, a na wewnątrz własną myślą ożywionej. Zlanie wszystkich słowiańskich plemion w jedno ciało polityczne, bez ożywienia go myślą, byłoby taką samą niedorzecznością, jak chcieć ideę wlać w te plemiona i ją utrzymać między niemi bez stworzenia społeczności. Trzeba więc ideę dać ciału i ciało utworzyć dla idei i to współcześnie. Rosya, jako obecnie jedyna między Słowianami siłą cielesną powołana jest przez przeznaczenie w to ciało wlać ducha.. Naród słowiański musi mieć i swoją religię narodową.. Władza świecka i kościelna w jednym będzie ręku, nie ma się co lękać dążności do połączenia berła i pastorału, które w naszej przyszłej historii słowiańskiej car mieć musi. Tu albowiem zawiera się synteza pierwiastkowej papieskiej i cesarskiej antytezy. Religia i państwo nie mogą być na przyszłość rozdzielone, jak nie może

być rozdzielony pojedynczy człowiek. Car jest środkiem przez opatrność przeznaczonym do osiągnięcia celu naszego, a jeżeli w środku tym jest coś złego, może nadto ostrego, starajmy się poprawić, złagodzić. Tymczasem zaś cieszymy się, że przez swoją ostrość zdolny jest utrzymać w jedności niesforne masy i przyłożyć się do tego, iż w nich zakwitnie duchowe życie, jakiego nigdy jeszcze nie było!...”

Przeczytawszy powyższy wywód, nie trudno się domysleć, jakie to dokumenty posłużyły Wiśniowskiemu za podstawę do rozjaśnienia właściwych dążeń panslawizmu. Jak już wspomnieliśmy, Wiśniowski, w agitacji związkowej szczególniejszą zwracał uwagę na wychowawców ruskiego seminarium we Lwowie, wiedząc aż nadto dobrze, jak potężny wpływ przyszli kapłani wywierać mogą wśród szerokich mas ludowych. Nie mógł przeto nie zauważyć gorliwy działacz, że usiłowania jego, zrazu tak pomyślnym uwieńczone skutkiem, napotykać jeły później na znaczne trudności. Źródło takowych tkwiło początkowo we Wiedniu, gdzie Józef Rajewski, protopop tamtejszej ambasady rosyjskiej, agitował wśród młodzieży generalnego seminarium, wmawiając w nią, iż Ruś, jako jednoplemienna z Rosją, dążyć winna do połączenia się z caratem. Omamieni jego przedstawieniami teologowie, powracali do kraju i za główny teren swej propagandy, obierali lwowskie seminarium, którego kierownictwo spoczęło w ręku prefekta Malinowskiego, gorliwego moskalofila. On to przerwał dotychczasową komunikację między wychowawcami seminarium a słuchaczami innych wydziałów uniwersyteckich, by na odosobnionych tem silniejszy wywierać wpływ, w myśl instrukcyj z Wiednia otrzymywanych. W miejsce języka polskiego, który był zwykłym językiem towarzyskim w seminarium, wprowadził mowę ruską, ka-

żąc młodzieży przygotowywać się do kazań w tymże języku, a wszelkie jego zarządzenia, mające na celu zaostrezenie antagonizmu polsko-ruskiego, doznawały jak najżyyczliwszego poparcia ze strony Grzegorza Jachimowicza, który zamianowany w roku 1837 rektorem seminarium, nie działał na własną rękę, lecz pozostawał w jak najściślejszym związku z gronem lwowskich rusofilów, ukrywających pod płaszczykiem lojalności wszechrosyjskie aspiracje. Publikacya słownika rusko-rosyjskiego, wykazującego rzekome podobieństwo między oboma językami, tudzież wykłady dziejów ruskich na podstawie podręczników rosyjskich, były dalszem następstwem wiedzionej systematycznie agitacyi, tolerowanej przez biurokracyę choćby tylko pod wpływem nienawiści ku żywiołowi polskiemu. Oliwy do ognia dołało jeszcze przybycie Michała Pogodina, który znalazł się we Lwowie w roku 1838, na parę miesięcy przed wyjazdem z kraju Wiśniowskiego. Pod pozorem poszukiwań naukowych, snuł Pogodin nader zręcznie wątek russofilskiej propagandy. Wobec Polaków bąbał ukladny profesor o zamiarze caratu wskrzeszenia samoistnej Polski, złożonej z Królestwa Kongresowego, z Galicyi zachodniej, z Księstwa Poznańskiego, oraz z Prus Królewskich. W oczy słaWił naród polski jako wielki, gorąco do ojezyny przywiązany, by za oczy tem gorliwiej go potępiać i skazywać na zagładę. Wobec Rusinów taktyka Pogodina była dwojaka. Żywioły gorętsze, uczciwe serca a słabe głowy, starał się wzbić w dumę narodową, budząc wśród nich dawne niechęci wobec Polaków, rozżarzając urazy, od lat szeregu zapomniane, do potęgi rasowej walki na śmierć i życie. Natomiast wobec wtajemniczonych grał w otwarte karty, wskazując im cel ostateczny swej propagandy i z kół właśnie tak



zwanych Pogodinowców pochodzić musiały wspomniane przez Wiśniowskiego dokumenty.

„Jakże się musiał car uradować, że go za środek do osiągnięcia tego celu obrano“ — pisze nasz autor w dalszym ciągu swej rozprawy — „i pewnie go nie zastraszyły owe zapowiedzenia: poprawienie i złagodzenie. Podobne pojęcie, z jakiegokolwiek pochodzić mogło uczucia, czyli samo, lub z wpływu obcego powstało, grzeszyło niepodobieństwem osiągnięcia wytkniętego celu, a bardziej jeszcze doborem środków, które nietylko Słowiańszczyźnie, ale całej ludzkości groziły niebezpieczeństwem. Używając Rosyi, czyli raczej cara, za narzędzie do osiągnięcia celu, Słowianie sami staliby się narzędziem i wpadliby w jarzmo, w jakim dziś pozostają Moskale, zatraciliby, jak ci, nawet wiedzę swego pochodzenia, zmieniliby się w narzędzie ślepego despotyzmu i dopomagałoby ciemnocie. Lecz usiłowania polskie, stawiające ciągle zapory despotyzmowi carskiemu i czas sam, wykrywający niedorzeczność podobnych pomysłów, sprowadził błędnych z obranej przez nich drogi i myśl przez nich poczęta, upadła. Upadając, zostawiła wszakże po sobie ślady tam, gdzie się ich najmniej spodziewać można było, bo w pokoleniu najnieprzyjaźniejszym caryzmowi, najwięcej obeznanemu z jego chytrąścią“.

Tu polemizuje Wiśniowski z Mickiewiczem, który pod wpływem Towiańszczyzny, głosił z katedry literatury słowiańskiej mgliste rojenia o wyziębieniu ducha na Zachodzie i o zagrzaniu takowego przez ducha słowiańskiego, o jakiejś niesformułowanej idei słowiańskiej, zbawiającej ludzkość, o pojednaniu Polski z Rosyą. Wytyka następnie, jako błędne pojęcia o pansławizmie, głoszone przez anonima w niemieckiej publikacji lipskiej, wydanej w roku 1843 o Rosyanach, Słowianach, Germanach, oraz o ich wzajemnym sto-

sunku, jakoteż wyrażone w ogłoszonych współcześnie „Rocznikach Słowiańskich“, by obszerniejszą poświęcić wzmiankę rozprawie Leona hr. Thuna, tenże przedmiot omawiającej, a streszczającej się w zdaniu, iż narody słowiańskie, prócz stosunków literackich, nie wspólnego nie mają i dlatego widocznem jest, że nie ma środka, nawet myśli, wyjąwszy zewnętrznego uciśku, któreby masy do utworzenia Wszechsłowiańszczyzny wyobrazić sobie mogły.

„Otóż pojęcie Leona Thuna“ — powiada Wiśniowski — „powołane na poparcie panslawizmu, jak najmocniej mu przeczy. Jest to pojęcie, wyprowadzone już z głębszego zapatrywania się na Słowiańszczyznę i jakkolwiek w samej podstawie różni się od innych, przez nas przytoczonych pojęć i zbija zupełnie pierwotną myśl Kollara, nikt mu nie przeczy, nikt nie odważa się wypowiedzieć walki. Co większa nawet, wszyscy prawie pisarze zachodniej i południowej Słowiańszczyzny rozprawę tę chwalą i często, podobnie jak „Roczniki Słowiańskie“ na poparcie swoich, zupełnie innych pojęć powołują. Podobne postępowanie literatów zachodniej Słowiańszczyzny pochodzi z powierzchownego zapatrywania się na stosunki Słowian. Ztąd takie wahanie, nieokreślenie przedmiotu jasno i stanowczo, tak, żeby od każdego był pojętym i zrozumiałym. Inaczej rzecz się ma z caryzmem. Jak we wszystkich przedsięwzięciach, umie on z daleka, zwolna, zręcznie przerabiać i przygotowywać żywioły, które pod berło swoje zagarnąć zamierza, tak i tu, nie staje z myślą panslawizmu otwarcie, śmiało, wiedząc, iż tym sposobem zraziłby wszystkich. I dlatego myśl tę najstaranniej tai, najniewinniejszą, najmniej na pozór niebezpieczną barwę jej nadaje. Polska, co padła ofiarą jego chytryści, własne, tak drogo kupione doświadczenie przynosi swoim współplemiennikom.

My lepiej, jak ktokolwiek inny, jesteśmy w stanie odślonić sidła, jakie na dobrodusze, świeżo ocknione, niedawno politycznie żyć i myśleć zaczynające plemiona przebiegłość wspólnych nam nieprzyjaciół zastawia. Tej powinności chcemy i dziś dopełnić..“

W tem miejscu opowiada Wiśniowski o snujących się po Słowiańszczyźnie urzędowych literatach rosyjskich — ma tu niewątpliwie Pogodina na myśli — którzy pod pokrywką badań i poszukiwań naukowych nie są niczem innem, jak wysłannikami polityki Carskiego Siola. Wystawiając pieczołowitość rosyjskiego rządu o podniesienie literatury, nakłaniają ubocznie swe ofiary do upraszania o pomoc z Petersburga, która w rzeczy samej nigdy nie zawodzi, a uderzając w strunę próżności narodowej, starają się wmówić w łatwowiernych, że Słowianie sami w sobie wszystko mają i niczego brać nie potrzebują od narodów zachodnio-europejskich. Ta chęć odosobnienia Słowiańszczyzny od oświaty całej Europy jest jednym z głównych zadań rządu rosyjskiego, który w tym celu wydaje i subwencyjonuje specjalne pisma, podobnie, jak dąży wszelkimi sposobami do jak największego rozpowszechnienia greckiej religii, szczególnie dogodnej dla samowładczej polityki caratu. Nie zgadza się przeto nasz autor na poglądy Maciejowskiego, wyrażone w Pamiętnikach, w myśl których najstarszym wśród chrześcijańskiej Słowiańszczyzny miałby być obrządek wschodni i zbija rzeczzone zapatrywanie wywodami źródłowymi Kopitara, wskazując zarazem na niebezpieczeństwo zbytniego rozpraszania się piśmienniczej działalności Słowian, gdyż w takim razie rozdrobniona literatura słowiańska nigdyby nie zdołałaby się wznieść do wyższego poziomu wartości, ułtwiając tem samem wzięcie przewagi literaturze rosyjskiej. Niemniej ważne jest spostrzeżenie naszego



autora o wzajemnym stosunku języków: polskiego i ruskiego, z powodu rozpraw o wskrzeszeniu tego ostatniego pod względem literackim. — „Jakaż może być dążność troskliwych o literaturę ruską?“ — zapytuje autor — „jeżeli nie osłabienie polskiej, a przez to nadanie przewagi rosyjskiej! Któryż język chcą oni podnieść? Czyli ów białoruski, który zapewne nie mając w sobie pierwiastków żywotnych, nie przesładowany, dobrowolnie polskiemu ustąpił? Czyli ów cerkiewny język, którego księża, nawet odpowiadający w nim dotychczas mszę świętą, mało, a lud zupełnie nie rozumie. Czyliż Ruś, złączwszy się z Polską dobrowolnie, z nią w prawach zrównana, przeszedłszy jedno z nią koleje sławy i klęsk, a kiedyś jednym ściślejszym jeszcze węzłem, węzłem braterstwa całego ludu złączyć się mająca, potrzebuje osobnej literatury? Czyliż każdy co na Rusi jakkolwiek ma oświatę, lub przynajmniej uchodzić chce za oświeconego, nie mówi i nie pisze po polsku?...“

Przytoczyliśmy w dosłownem brzmieniu zapamiętania Wiśniowskiego na kwestyę odrębności piśmiennictwa ruskiego, gdyż pomimo radykalnej pod tym względem zmiany poglądów, pozostanie owe zdanie znamienitym objawem epoki, w jakiej powstało. Tem bardziej stanowczo występuje nasz autor w obronie samoistności języka i literatury polskiej, nie znajdując dość słów potępienia wobec enuncyacji Henryka Rzewuskiego, który w ekstazie lojalności, poważył się zaprzeczyć narodowości polskiej i wyrazić zdanie, że „żaden Słowianin nie może siebie nazwać uczonym, póki się nie obezna gruntownie z wszystkimi rzeczami swojego rodu...“ Dostała się przy tej sposobności surowa, a zasłużona zupełnie, nagana poplecznikowi autora „Listopada“, Michałowi Grabowskiemu, którego list z daty 2 lutego 1843 r., skreślony

do adjutanta Bibikowa, hr. Strutyńskiego, w sprawie założenia czasopisma w Kijowie, znajdujemy w przypisach do omawianej rozprawy.

„Reasumując wszystko to, cośmy dotąd o panslawizmie powiedzieli“ — słowa Wiśniowskiego — „okazuje się, iż pojęcie to, da się sprowadzić do dwóch następujących: 1) Każdy naród słowiański, choćby najmniejszy, powinien swą narodowość zachować i literaturę swoją kształcić, z czego, w czasie, jedna ogólna literatura się wyrobi. 2) Wszyscy Słowianie dążyć powinni do utworzenia jednego państwa i jednej religii słowiańskiej. Dążność utworzenia jednej literatury słowiańskiej jest prostym marzeniem, niemającym żadnej rozumowej podstawy. Jedności zaś narodowej słowiańskiej nie możemy inaczej pojmować, jak w połączeniu z Rosyą, pod berłem caratu, co za szkodliwe, nie tylko Słowiańszczyźnie, ale całej ludzkości uważaliśmy. ...Jakkolwiek są usiłowania Rosyi do popierania jedności państwa słowiańskiego, to jednak... zawiłe teorie panslawistyczne nie mogły dojść do mas pojęcia, w których jedynie przechowały się uczucia narodowe. O masy te rozbijają się wszystkie intrygi rosyjskie, bo w nich nie ma żadnej myśli, któraby je do Wszechsłowiańszczyzny zapalić mogła. Masy te, instynktem niejako, dążą do wolności, ich rodzinnego żywiołu i w tym to instynkcie powinni uczeni znaleźć myśl, sformułować ją jasno, otwarcie. Zadaniem dzisiejszego wieku jest przede wszystkim odradzanie się i ustalanie narodowości, a każdy wiek ma swoje wymagania, których bezkarnie przekraczać nie należy. Słowiańskie narody, pomimo jedności pochodzenia, wyrobiły w sobie przez długie wieki tak odmienne interesy, tak odróżniły swój język, że zcalenie w jedno państwo nie przedstawiałoby żadnej podstawy, tak, jak utworzenie jednej literatury tam, gdzie literatury

kilku narodów poważne już stanowisko zajęły. Nie rozumiemy jednak, aby istniejące dziś rozdrobnienie literatur i rozdziały na drobne narodowości pozostać miały. Każdy naród, aby mógł spełnić swoje poslanictwo, musi mieć wszystkie potrzebne ku temu warunki... Niektóre narody słowiańskie, już ze swego położenia geograficznego, już to ze swej przeszłości i umysłowej przewagi, są przeznaczone na to, aby wcielić w siebie ludy sąsiednie, których nietylko blizkie spowinowacenie języka, ale i pamiątki historyczne w tę stronę popychają. I tak z Czechami powinni się połączyć Morawianie i Słowacy węgierscy, z Iliroserbami wszystkie ludy południowej Słowiańszczyzny, pod rządem austriackim i tureckim zostające, jak to już w znacznej części, co do literatury, się stało. Polska nakoniec i Ruś, które tak dawno historia łączy, mają stanowić jedno państwo. Bez takiego połączenia wszystkie narody nigdy by do samoistności nie przyszły, nigdy by ważnego stanowiska w dziejach świata nie zajęły...”

„Obok takiej dążności ustalenia osobnych, wielkich narodowości, Słowianie tych narodów mogą pozostawać z sobą w przyjaźnych, braterskich stosunkach, jeżeli do urzeczywistnienia jednego celu, to jest do równości i niepodległości dążą. Na tej drodze powinny się zbiegać wszystkie ich usiłowania. A zatem wszystko, co temu przeszkadza, winno być usunięte i potępione. Ztąd to, rozciągana braterskość do Rosyan, widzimy za daleko posuniętą. Naród ten, przez długie wieki niewoli i przez despotyzm rządu w ciemności pogrążony, zatracił wiedzę swego pochodzenia, nawet uczucie wolności. Kto mu się bliżej przypatrzy, kto jego usposobienie zgłębi, pozna, że tam każde uczucie, podnoszące godność człowieka, jest zatarte. Nie zna on nawet wyrazu: wolność, nie jest w stanie



jego znaczenia pojąć. Jeżeli się zdarzy oświeconego Rosyanina spotkać, można w nim znaleźć tylko kosmopolitę, rozprawiającego o wolności ogólnej, której nie pojmuje i o jej zastosowaniu w kraju swoim nie pomyśli.. Rosyanin jest przede wszystkim poddanym carskim, swoje mienie, swoje życie nawet uważa za własność cara i gotów je na każde jego skinienie poświęcić. Nie pokładajmy więc nadziei w żadnej rewolucyi wewnętrznej w Rosyi. W dzisiejszym stanie rzeczy nie ma tam żywiołów do rewolucyi społecznej, jeno do zaburzeń, rzezi i mordów, do czego się niewolnicy posunąć mogą. Polska musi naprzód zacięta walkę stoczyć z tym nieprzyjacielem ludzkości, zepchnąć go w właściwe mu granice i posiąść swoje odwieczne, a wówczas i Rosyanie, gdy przyjdą do uczucia własnej godności i pozbędą się despotyzmu carskiego, będą mieli prawo żądać miejsca, jako bracia w jednej, wielkiej rodzinie słowiańskiej“.

„To polskie pojmowanie sprawy słowiańskiej, posłuży za odpowiedź pisarzom, uważającym się na Polaków za niepopieranie panslawizmu. Polacy nie unikają stosunków ze swoimi pobratymcami, ani literackich, ani wszelkich innych, jeżeli te są jasne, prostą wiodą drogą. Nie myślą także o spolszczeniu Słowiańszczyzny, jak to im niektórzy zarzucają. Tej myśli nigdy Polacy nie mieli i nie natrafiłszy na nią w żadnem, nam znanem, polskim piśmie. Nie spolszczenie to, ale przewodniczenie Polski w wyzwoleniu innych Słowian, nie prawo to, jakie Polska nad niemi sobie przywłaszcza, ale obowiązek. I obowiązek ten ciąży dlatego na niej, iż ona jedna ma warunki do jego wypełnienia. Wypływa on z położenia Polski, jej granic, z jej wątku historycznego, a żaden inny naród słowiański w tym względzie Polaków wyręczyć nie potrafi. Niech więc Słowianie nie go-

tują się do wielkiego celu, jakim jest osiągnięcie niepodległości i równości, celu, do którego się Polska stanowczo sposobi. Niech każdy Słowianin będzie, czem być powinien: Polak, dobrym Polakiem, Czech, dobrym Czechem, Iliryjczyk czy Serb, dobrym Iliryjczykiem, czy Serbem, ale nie powiemy: dobrym Rosyaninem, bo dobrym Rosyaninem, wedle panującego w Rosyi pojęcia, jest ten tylko, kto wolę cara ślepo wypełnia!...”

Tu koniec rozprawy Wiśniowskiego, która za-  
służyła na obszerniejsze streszczenie także ze względu na swą wewnętrzną wartość. Wolna od próżnej frazeologii, znamionującej, niestety, przeważną część publikacyj emigracyjnych, jest ona dowodem niepospolitej erudycyi autora, obeznanego dokładnie z odnośną literaturą, a i mimo upływu lat dziesiątków, oraz zmiany stosunków politycznych, zawiera niejedną myśl dziś jeszcze aktualną, niejedno spostrzeżenie, dowodzące głębokiego zmysłu politycznego u piszącego.

W chwili, gdy praca Wiśniowskiego ukazała się w druku, tendencya zbrojnego ruchu coraz to bardziej stawała się wyraźną wśród ogółu wychodźstwa. Ruch ten, zdaniem Centralizacyi, nie miał być zwyczajnem powstaniem, ale rewolucją socyalną, głoszącą usamowolnienie pod względem moralnym i materialnym wszystkim uciemżonym. Równocześnie starała się Centralizacya nadać Towarzystwu jak największe rozpowszechnienie pod wszystkimi trzema zaborami, z którymi już od roku 1836 pozostawała w bezpośrednich stosunkach, za pomocą emisaryuszów. Nie poprzestawała już teraz na szerzeniu zasad demokratycznych słowem i drukiem, lecz zalecała swym wysłannikom jednanie jak największej ilości członków. Przyjmowali nowo-przystępujących do Towarzystwa nie tylko emisaryusze, lub ustanowieni przez nich

pełnomocnicy, lecz także dawniejsi członkowie, którzy zbadawszy charakter kandydata, odbierali od niego wobec świadka przysięgę na bezwarunkowe posłuszeństwo dla władzy związkowej, na dochowanie tajemnicy, oraz na nieustającą działalność, w celu przywrócenia Polski w dawnych jej granicach. Niekiedy, miasto przysięgi, poprzesławano na słowie honoru, albo też na obietnicy przystąpienia do Towarzystwa, danej przez kandydata. Pierwsi ajenci i emisaryusze Centralizacyi doznali w kraju jak najlepszego przyjęcia, i podjęte przez nich próby miejscowej organizacyi, uwieńczone zostały pomyślnym rezultatem. Najlepiej zwłaszcza zorganizowane było Wielkie Księstwo Poznańskie, dzięki gorliwym pracom Walerego Breańskiego, tudzież Tomasza Malinowskiego, który w tamtych stronach przez dwa lata z rzędu, (1837—1838), pełnił swą misję. Około roku 1841 napotkała działalność emisaryuszów na znaczne trudności, spowodowane zarówno podejrzliwością i prześladowaniami poszczególnych rządów rozbiorowych, jak nieufnością, jaka poczęła się budzić w kraju przeciwko związkowi, tworzonym przez wychodźców. Nieufność owa nie była bynajmniej wynikiem tchórzostwa, czy też niechęci wobec emigracyi, lecz dyktował ją, że się tak wyrazimy, instynkt samozachowawczy ze strony ziomków, przebywających w kraju, którzy widzieli, iż każdy niemal związek, zorganizowany przez wychodźców, prędzej, czy później, padał ofiarą dochodzeń policyjnych. Pod tym względem wina ciążyła niepodzielnie na emigracyi, która, mimo bolesnych prób i doświadczeń, grzeszyła tak brakiem ostrożności, jakoteż gadatliwością bez miary. Dzięki tym wadom, ajenci tajnej policyi francuskiej posiadali zawsze bardzo dokładne i wczesne informacje o robotach spiskowców polskich, a rząd Ludwika Filipa nie czynił z swych



wiadomości tajemnic wobec przedstawicieli mocarstw rozbiorowych przy dworze paryskim. Nadto, ciągle właśnie wśród wychodźstwa, sprawiały, iż akcja jednego stronnictwa była przedmiotem krytyki i publicznej niemal dyskusyi w łonie przeciwnej partyi. Tak więc arystokraci — jak słusznie zauważył jeden z autorów emigracyjnych — zdradzali tajemnice demokratów, a demokraci sztychali w głos z poufnych zabiegów arystokracji. Jedni przeto i drudzy zdradzali się wzajemnie na każdym kroku.

Wśród ciągłej walki stronnictw, Centralizacya, lękając się utraty swego wpływu w kraju, jakoteż pod presją obawy, by kraj na własną rękę nie rozpoczął rewolucyi, postanowiła przystąpić sama do praktycznego działania, którego zapowiedzią był urządzony z jej ramienia przez Mierosławskiego oraz przez Wysockiego, kurs sztuki wojkowej. Z pomocą tego kursu, miała ona zamiar kształcenia poszczególnych osobistości na dowódców przyszłego powstania, a oraz rozpowszechnienia wiadomości militarnych wśród ogółu emigracyjnego. Tymczasem w kraju gorętsze żywioły partyi siłą mocą do powstania. Przodowało pod tym względem Poznańskie, gdzie liczba zwolenników i uczestników Towarzystwa Demokratycznego dochodziła, wedle obliczenia Mierosławskiego, do wysokości cyfry 3.600 głów, a zasady związku głoszone niemal otwarcie w słowie i w druku. W roku 1843 — a zatem w czasie, gdy bawił w Księstwie Wiśniowski — powstał w Poznaniu osobny komitet finansowy, który zajął się zbieraniem składek na cele rewolucyjne i odesłaniem takowych do Francyi. Członkami tego komitetu byli: Seweryn Ostrowski, Włodzimierz Wolniewicz, dr. Libelt, hr. Bniński, Władysław Łącki i Seweryn Mielżyński. Ten ostatni zasiadał również w specjalnym komitecie wojskowym, później powsta-

łym, wraz z Władysławem Kosińskim i z Kurnatowskim. Oba te komitety: finansowy i wojskowy, stały pod rozkazami poznańskiego komitetu centralnego, w gronie którego zasiadali, prócz Libelta i Wolniewicza, także: Józef Mikorski, Jan Słupecki, Nepomucen Sadowski i Wiktor Heltman. Komitet centralny, uznający Centralizację Wersalską, jako władzę naczelną, powstał w jesieni 1844 r., ale jego istnienie nie przeszkodziło bynajmniej zawiązaniu się innej, rewolucyjnej organizacyi w Księstwie, która, złożona z najsłabszych żywiołów, wręcz zdradzała aspiracye komunistyczne, podczas gdy inna znów frakcyja miała nadzieję przyśpieszeniem chwili wybuchu powstania, chwycić ster władzy narodowej w swe ręce, z pominięciem Centralizacyi.

To rozdwojenie w dzielnicy, na którą głównie Towarzystwo Demokratyczne liczyło, było najważniejszym czynnikiem, podniecającym energię Centralizacyi w jej materyalnych przygotowaniach do powstania. Zresztą wypadki polityczne zapowiadały powszechną wojnę, wobec której należało być przygotowanym do czynnego wystąpienia. Odwołano więc co rychlej Malinowskiego z jego wędrowki po kraju i odbyto z końcem 1844 roku walną naradę w Łonie Centralizacyi, w której składzie zasiadali wówczas, prócz Malinowskiego: Henryk Jakubowski, Jan Alcyato, Wysocki i Teofil Wiśniowski. Ponieważ jednak Wiśniowski przebywał już podówczas w Galicyi, jako emisaryusz, przeto w miejsce nieobecnego, powołano Darasza z głosem doradczym. Malinowski, człowiek doświadczony i sumienny, nie krył rzeczywistego stanu, jaki zastał w kraju. Twierdził on, że wrażenie upadku listopadowej rewolucyi zbyt jeszcze było świeże, iżby można myśleć o skutecznem powstaniu, i domagał się wykluczenia ze spisku tych wszystkich związków, któ-

reby chciały się uchylić od zasady biernego posłuszeństwa wobec Centralizacyi. Ale stanowczość ta przerażała innych członków władzy naczelnej, którzy sądzili, że lud nasz z propagandy, najlepiej prowadzonej, nie potrafi korzystać, jak długo istnieje faktyczny stan rzeczy w kraju. Twierdzili oni nadto, że ten lud nie zdoła odzyskać swoich praw w Polsce ujarzmionej, oraz, że dla ogółu stanowczym wyrazem propagandy, będzie dopiero powstanie. Wobec takiego oświadczenia, Malinowski ustąpił, a miejsce jego w Centralizacyi zajął Mierosławski, za którego wpływem postanowiono powstanie, o ile możliwości, przyspieszyć. W myśl tej zasady zajęła się też Centralizacya ułożeniem głównego planu działań wojennych. A ponieważ Mierosławski jak najbardziej przeciwny był partyzantce, której uczestników porównywał z towarzyszami Rinaldiniego, przeto też postanowiono, iż cała siła zbrojna, jaka się zbierze w pierwszej chwili wybuchu w Księstwie, w Krakowskiem i w Galicyi, rzuci się w rozmaitych kierunkach na załogi rosyjskie, rozłożone w Królestwie Kongresowem, podczas gdy odparcie garnizonów pruskich i austriackich, będzie rzeczą powstańczych oddziałów rezerwowych.

Równocześnie z powzięciem tych uchwał przez Centralizacyę, nadeszły do Wersalu alarmujące doniesienia z Księstwa, iż w razie dłuższej zwłoki, Centralizacya straci zupełnie grunt pod nogami, oraz, że emisaryusze jej utracą resztę swego wpływu wśród niecierpliwości i żądzy boju ze strony ogółu polskiego. Starała się Centralizacya, jak mogła, zażegnać grożącą burzę, zapowiadając przez usta Heltmana, badającego teren przyszłej walki, rychłe przybycie wojskowego swego wysłannika, który, rozglądając się na miejscu, oznajmi termin wybuchu. Oczywiście owym wysłannikiem był nie kto inny, jeno Mierosławski, który



w marcu 1845 r. znalazł się w Poznaniu. Ale mimo niezwyklej pewności siebie i oportunizmu w ocenie otaczających go stosunków, zgodził się Mierosławski z wywodami Heltmana, iż o powstaniu w ciągu 1845 roku nie ma co i myśleć, jakkolwiek z drugiej strony było rzeczą aż nazbyt widoczną, iż dłuższa zwłoka grozić może zupełnem rozluźnieniem dotychczasowej organizacyi powstańczej. Zalecił przeto kierownikom związku w Księstwie, by się zajęli spisaniem statystyki wojskowej, sam zaś powrócił do Wersalu, by obmyśleć wraz z innymi członkami Centralizacyi sposób wydostania potrzebnych na uzbrojenie funduszków. Atoli niedostatek pieniężny w kasie Towarzystwa Demokratycznego był tak znaczny, iż zaledwo w drodze osobistych ofiar kilku członków Centralizacyi, udało się uzyskać przedłużenie kredytu u dotychczasowych wierzycieli, a celem pozyskania świeżych zasiłków, wyprawiono Alcyatę do Poznania. Równocześnie podążyli inni wysłannicy do Saksonii, oraz na Szlązk, celem wzbudzenia w tamtych stronach sympatyj dla sprawy powstania.

Tymczasem z Księstwa, miasto spodziewanych funduszków, nadeszły niepokojące wieści o obaleniu komitetu centralnego, którego skład został zupełnie odnowiony, zaś Heltman doradzał w swem sprawozdaniu, by niezwłocznie rozwinąć sztandar powstania, gdyż dalsze odraczanie grozi zupełną zatrąą podjętej sprawy. Myśli natychmiastowego powstania sprzeciwił się w gronie Centralizacyi Jakubowski, lecz przegłosowany, wystąpił ze składu tej władzy. Następcą jego został Heltman, który wraz z Alcyatą, Wysockim i Mierosławskim — Wiśniowski bawił ciągle w Galicyi — postanowili wyprawić Mierosławskiego do Poznania, dając mu na drogę szczegółową instrukcyę. I tak, w sprawie wyboru osób, mających tworzyć przy-

szył rząd narodowy, kazano mu się porozumieć z deputowanymi z pod wszystkich zaborów. Zastrzegano wszakże w owym rządzie dwa miejsca dla członków Centralizacyi, jako dla przedstawicieli wychodźstwa, zalecając również Mierosławskiemu wprowadzenie do składu tej władzy Libelta, jako reprezentanta Księstwa, a Wiśniowskiego, lub Franciszka Wiesiołowskiego w charakterze reprezentantów Galicyi. Co do innych prowincyj, pozostawiono Mierosławskiemu dowolny wybór osób, podobnie jak dano mu najobszerniejsze pełnomocnictwo pod względem militarnym. Sam Mierosławski objąć miał naczelne dowództwo siły zbrojnej pierwszego powołania w Księstwie z prawem mianowania podwładnych komendantów. Zastrzeżono wszakże, że wszystkie mianowania są tymczasowe, oraz, że później muszą być zatwierdzone przez rząd narodowy. Wyposażony tak obszernymi atrybutami, stanął Mierosławski w dniu 31 grudnia 1845 r. powtórnie w Poznaniu.

Godzina czynu wybiła!

### III.

Rok czterdziesty szósty ujrzeć miał Polskę, powstającą z półwiekowej niewoli, wielką i niepodległą w dawnych jej granicach.

Nie była to, co prawda, chwila odpowiednia do rozpoczęcia wolnościowego ruchu, gdyż głęboki spokój, zakłócony chwilowo sprawą wschodnią w roku 1840, zapanował w całej Europie. Traktat londyński zbliżył mocarstwa rozbiorowe do Anglii, zaś Francya zapomniawszy o dawnych swych upokorzeniach, poprzestała na chwilowej demonstracyi wojennej, która nikogo nie przeraziła. Polityka czynu zdawała się być

wykluczoną z gabinetów dyplomatycznych. Utrzymanie *status quo*, stało się hasłem dla wszystkich mocarstw, straszonych i unieruchomionych widmem rewolucyi, a dążących za każdą cenę do jak najdłuższego utrwalenia pokoju europejskiego, zainaugurowanego kongresem wiedeńskim przed laty trzydziestu. Duch rewolucyjny przytłumiony był, nie zniszczony, a wyparty z powierzchni, nie przestawał nurtować w głębi mas ludowych. We Francyi, która z dawien dawna miała ustaloną reputacyę krzewicielki zasad rewolucyjnych, republikanie i wszyscy ludzie postępowi, przestali się zajmować sprawami polityki wewnętrznej, oczekując z upragnieniem zapowiedzi jakiejś podniety zewnętrznej, któraby dała początek potężnej ewolucyi. Potrzebę jej wszyscy odczuwali, lecz nikt nie chciał, czy nie umiał zapoczątkować tego wypadku dziejowego.

Zadanie to przypadło w udziale Polsce, która uznawała za stosowne korzystać z uspienia swych nieprzyjaciół i wystąpiwszy przeciwko nim, odwołać się do sympatyi tych ludów, które nie szczędziły jej objawów współczucia po upadku rewolucyi listopadowej. Plan powstania, które miało wybuchnąć równocześnie w zaborach: pruskim i austryackim, obsadzonych niedostatecznie załogami rządowemi, by z całym zamachem uderzyć na wojska rosyjskie, ujarzmiające Królestwo Kongresowe — niewykonalnym w zasadzie nie był, choć zbywało mu niestety na koniecznych przygotowaniach. Opóźnienie czynności przygotowawczych a zarazem nagły pospiech w ostatniej chwili przed wybuchem, były wpływem naszego charakteru narodowego. Polacy mają wiele wstrętu do przedsięwzięć odlegle pomyślanych, pewnego ciągu, systematyczności w wykonaniu potrzebujących — jak to zauważył trafnie Jan Alcyato, jeden z głównych działaczy w wy-



padkach czterdziestego szóstego roku — ale snadnie, prędko, chwytają za oręż. Polityka przezorna, przewidująca, wytrwała, pewnym ciągiem i koleją do czynu prowadząca, mało znajduje między nimi stronników. Czyn, sprawa orężna, powstanie przeciw najęźdźcom kraju, wszystkich unosi, porywa. To uniesienie, ta solidarność w sprawie powstania narodowego byłyby zdolne z powodu ich mocy wszelki opór na razie przełamującej, zastąpić brak przewidującej myśli i nagłą improwizacją zająć nieprzyjaciela, rachuby jego pokrzyżować, środki i siły potargać, rozprawę z nim łatwą uczynić. Ale po uniesieniu następuje zwykle namysł, właśnie wtedy, kiedy go być nie powinno i upadek dzieła przyspiesza, sprowadza. Taką była historia wszystkich powstań, z których nauka rodziła nadzieję, że teraz będzie inaczej, ale inaczej być nie miało.

Galicya nie ustępowała pod względem patriotyzmu Księstwu, lubo w Poznańskim organizacya związkowa znacznie głębsze zapuściła korzenie, a uregulowany stosunek między dziedzicem a włościaninem, tudzież swoboda stowarzyszeń i prasy, wytwarzały grunt o wiele podatniejszy dla propagandy demokratycznej, aniżeli to mogło mieć miejsce pod zaborem austriackim. Pewność bliskiego wybuchu zbudziła w Galicyi uspione do tej pory zapał i energię, zwłaszcza wśród wykształceńszej warstwy miejskiej i ziemian, lecz równocześnie odsłoniła straszliwą niemoc kraju pod względem rewolucyjnym, a mianowicie niechęć mas ludowych wobec przyszłego powstania. Nad wywołaniem tego uczucia, dzielącego lud, uprawiający rolę, od starszej braci, pracowała od dawna biurokracya, wroga krajowi, a zawistna o swą wszechwładzę. Przez lat dziesiątki ziemianin galicyjski, zmuszany do pełnienia z ramienia rządu

obowiązków poborcy podatku i rekruta wśród włościan, sprawujący nad nimi władzę opiekuna i sędziego, nadto wiele znaleźć musiał sposobności do czynów, które w oczach wiejskiego ludu przedstawiały go jako ciemieżyciela i zdziercę. W tem mniemaniu utwierdzali podejrzliwą rzeszę chłopską biurokraci, których wysłannicy i ajenci każde zbliżenie się pana do chłopą, wywołane agitacją Towarzystwa demokratycznego, zdołali wieśniakowi wytłómaczyć na jego niekorzyść. Nienaturalny ten rozdział, istniejący w Galicyi między siermiężną rzeszą a tak zwanymi surdutowcami, stanowił przykrą niespodziankę dla Centralizacyi, oraz dla jej przedstawicieli, łudzonych do tej pory zbyt optymistycznemi relacyami o gotowości kraju do powstania, bądź też sądzących o korzystnem dla sprawy narodowej usposobieniu ogółu galicyjskiego na podstawie doświadczeń, zebranych w Księstwie Poznańskiem. Patryoci galicyjscy nie przerażali się wszakże tem smutnem odkryciem, gdyż przypuszczali, że w pierwszej chwili zdołają sobie pozyskać lud wiejski zapewnieniem swobód i korzyści materyalnych a z czasem rozbudzą wśród niego uśpione uczucie miłości ojczyzny. Twierdzili, że w zachodniej części kraju ludność mazurska okaże się życzliwszą powstaniu, aniżeli chłop ruski, osiadły we wschodnich cyrkulach galicyjskich. Smutna rzeczywistość miała niebawem wykazać przeciwieństwo owych rachub, snutych bez należytego uwzględnienia miarodajnych w tej sprawie czynników. Lud bowiem ruski okazał się w przeważnej części obojętnym widzem lutowych wypadków, podczas gdy Mazur, podniecony obietnicami biurokracyi, oszołomiony wódką i przewrotnemi naukami apostołów rzezi, skalał się krwią bratnią, rabunkiem i pożogą. Instyktownie odczuwano tę krwawą katastrofę, zwłaszcza w zachodniej Galicyi

już w przededniu strasznych wypadków. Wstręt i obawa jeły paraliżować pierwiastkowy zapal związkowych. Okolice, z których liczono na tysiące powstańców, nie ręczyły za setki, ani nawet za dziesiątki. Niestety, odwołanie terminu wybuchu stało się niemożliwością. Ruchu raz rozbudzonego nie była w stanie opanować żadna siła ludzka. Nieubłagane następstwo różnorodnych przyczyn i skutków popychało swe ofiary ku zgubą ziejącej przepaści.

Teofil Wiśniowski pojawił się w Galicyi już pod koniec 1844 roku, przekroczywszy jej granice od strony mołdawskiej. Nie trzymając się bowiem utartego szlaku, wydeptanego przez emisaryuszów Centralizacyi a wiodącego przez środkowe Niemcy i Kraków do Galicyi, wsiadł Wiśniowski w kwietniu t. r. na statek w Maryslii, by na Sambuł dostać się do Jass, od której to strony mniej pilnie strzeżono granicznych szlaków. Przybywał do kraju pod mianem przybranem Karola Duwała, które wszakże często zmieniał, zwąc się Winnickim, Dąbrowskim i Zagórskim, i zasłaniając peruką wyniosłe swe czoło, po którym łatwo go poznać mogła tropiąca emisaryuszów policya. Prócz ustnej propagandy oraz rozdawnictwa publikacyj, ogłaszanych przez Centralizacyę, głównym celem misyj jego było zbieranie funduszów na założenie w Paryżu szkoły wojskowej, w której młodzież polska mogłaby się kształcić na oficerów przyszłego powstania. Kurs ten miał trwać dwa lata i wymagał nakładu około stutysięcy franków. Krążąc od dworu do dworu, zajechał też Wiśniowski do Wojsławia, którego dziedzicem był już wspomniany poprzednio Franciszek Wiesiołowski, gorący patriota, znany mu jeszcze z czasów sprawy partyzantów, jako więzień stanu w gmachu pokarmickim. Ale mimo szczerej pomocy gospodarza domu, nie wiele wskórał Wiśniowski wśród ziemian tar-



nowskich, którzy już przedtem, na wzór szlachty, osiadłej w cyrkule rzeszowskim, zawiązali między sobą rodzaj stowarzyszenia, mającego na celu propagandę w duchu narodowościowym, zaprowadzanie szkółek wiejskich, tudzież zbieranie składek na utworzenie szkoły dla dzieci emigrantów. Jakkolwiek odezwa w tej ostatniej sprawie wyszła podobno z hotelu Lambert, to jednak zebrano na ten cel zaledwo tysiąc kilkaset franków. Tem mniej pochopnymi okazali się stowarzyszeni do ofiarności na rzecz szkoły wojskowej, popieranej przez Wiśniowskiego. Jedni półgębkiem podnosili zarzuty przeciw utworzeniu takiego zakładu, inni ogólnikowo przyrzekali poparcie z swej strony i ostatecznie postanowili na ten cel oddać połowę zebranych już, szkolnych składek. Poruczywszy dalsze dopilnowanie tej sprawy Wiesiołowskiemu, odjechał Wiśniowski, który nie czuł się w kraju dość bezpiecznym, z powrotem do Jass, zapowiadając ponowne w te strony przybycie z wiosną. Aliści zaraz po jego odjeździe podniosły się głosy przeciw nieobecnemu. Nawet ci z ziemian, którzy w oczy przyrzekli pomoc Wiśniowskiemu, poczęli umywać ręce od wszystkiego, twierdząc, iż nie chcą mieć niczego wspólnego z demagogiem, komunistą i nieprzyjacielem szlachty, wobec czego Wiesiołowski uznał za stosowne zawiadomić swego gościa o nieprzychylnej dla niego sytuacji. Być może, iż do nieprzyjaznej o naszym emisariuszu opinii wśród tarnowskiej szlachty przyczyniło się choć w części przybycie Dembowskiego, który w lutym roku 1845 zawitał do Wojsławia, przywołując Wiesiołowskiemu pisemną od Wiśniowskiego rekomendację. Ognisty, niepohamowany charakter Dembowskiego, który, pomimo swego arystokratycznego pochodzenia, był fanatycznym wyznawcą zasad skrajnych, nie mógł mu zjednać miru wśród właścicieli

dóbr w Tarnowskiem, z tem większem od owego czasu niedowierzaniem spoglądających na wysłanników Centralizacyi.

Zgodnie z swą zapowiedzią, pojawił się Wiśniowski zaraz po świętach Wielkiej Nocy u Wiesiołowskiego. Przyjeżdżał podobno z cyrkułu zaleszczyckiego, gdzie spotkawszy się z Dembowskim, oraz z świeżo przybyłym do kraju Heltmanem, zabrał ich z sobą do Wojsławia na wspólną naradę co do dalszego postępowania. Przybywszy w dniu ośmnastym marca 1845 r. na miejsce, dni kilka strawili związkowi na obradach, których ostatecznym rezultatem było postanowienie, iż Wiśniowski zajmie się organizacją spiskową we wschodniej części kraju za Sanem, podczas gdy rewolucyjną agitacją w zachodnio-galicyjskich obwodach mieli się wspólnie zatrudniać Wiesiołowski wraz z Dembowskim. Wykonanie tego planu napotkało wszakże ze strony Wiśniowskiego na znaczne trudności. W lipcu t. r. zjechałszy się z Wiesiołowskim w okolicy Lwowa, prawdopodobnie w Bratkowicach, w domu Petrowicza, gdzie się najczęściej ukrywał, gdyż w mieście, jako poszukiwany przez władzę i znany policyjnym szpiegom pokazać się nie mógł, skarżył się przed nim Wiśniowski z powodu przeszkód, jakich doznawał w zorganizowaniu powierzonych mu obwodów.

Nosił się podówczas Wiśniowski z zamiarem stworzenia osobnego komitetu rewolucyjnego dla Galicyi wschodniej, lecz nie mógł dobrać do składu tej władzy osobistości odpowiednich, zamieszkałych w niewielkiej od siebie odległości, co by im umożliwiło energiczne i zgodne działanie. Zaleciwszy więc Wiesiołowskiemu, by starał się pod tym względem wybadać opinię szlachty, licznie zebranej we Lwowie podczas kontraktów, odjechał Wiśniowski do Poznania, z kąd powrócił już z końcem lipca. Zaraz też,

naznaczył Wiesiołowskiemu jako miejsce spotkania pewny dwór pod Dąbrową, gdzie też w dniu oznaczonym znaleźli się, prócz obu braci Wiesiołowskich: Franciszka i Michała, także Dembowski, gorliwy agitator a były adwokat z Radomia, Mazurkiewicz, tudzież delegat związkowych krakowskich, Ludwik Gorzkowski. „Wiśniowski bardzo skąpo udzielał nam powziętych w Poznaniu wiadomości“ — pisze w swym pamiętniku Franciszek Wiesiołowski, wspominając o zjeździe pod Dąbrową. — „Był on zwykle ostrożny i mało mowny aż do mistycyzmu; wierzący silnie w sprawę narodową i ideę demokratyczną, ale z nadto wierzący w nieomylność Centralizacji wersalskiej, której był członkiem. Raziła nas nieraz ta wiara, jakiej żądał od nas, bez zagłębiania się w tajniki, których odkryć wzbraniał się.“ Dembowski i Gorzkowski, obaj ludzie łatwo zapalni, szczególnież oburzali się na ów, jak sądzili, mistycyzm Wiśniowskiego, którym emisaryusz pokrywał prawdopodobnie budzące się w jego umyśle zwątpienie na widok nie dość energicznie wiedzionej akcji przez komitetowych poznańskich. Przekonali się o tem już w najbliższej przyszłości Wiesiołowski oraz Dembowski, którzy zaniepokojeni brakiem wiadomości z Księstwa, pospieszyli w pierwszych dniach listopada do Poznania i wywołali przeobrażenie się tak zwanego komitetu centralnego, w skład którego, oprócz Libelta, weszli: Guttry, Kosiński, Essman z Wielkopolski, Dzwonkowski, jako przedstawiciel Królestwa Polskiego oraz Wiesiołowski, jako reprezentant Galicyi. Już jako kierownik rewolucyjnego ruchu w tej części kraju zawezwał Wiesiołowski w grudniu t. r. do Wojsławia najgłośniejszych emisaryuszów, działających w Galicyi, jakimi obok Wiśniowskiego i Dembowskiego byli też Mazurkiewicz i Rozwadowski. Na zjeździe tym przy-



szło do gwałtownego starcia między Wiesiołowskim a Dembowskim, który uznając konieczność propagandy rewolucyjnej między ludem wiejskim, zagroził zgromadzonemu, iż w razie, jeżeli nie uznają tej sprawy jako nagłą, to on rzuca wszystko i uda się do Poznania, by oskarżyć Wiesiołowskiego wobec komitetu naczelnego o tamowanie dalszego postępu działania. Zaatakowany nie pozostał dłużnym w odpowiedzi Dembowskiemu, utrzymując, iż on tylko jako naczelnik powstania galicyjskiego, odpowiedzialny jest zarówno wobec kraju, jak wobec komitetu. Poważniejszych doprowadził do zgody Wiśniowski, który również okazał się przeciwnikiem propagandy ludowej.

„Miał on to przekonanie“ — powiada o Wiśniowskim w swych wspomnieniach Robert Nabelak — „że o prędkim powstaniu myśleć nie można, bo nam się nie uda, że należy zwolna się przygotować, żeby powstać nietylko w Galicyi, ale naraz wszędzie... kiedy czas będzie stosowny. A będzie on najstosowniejszy wtedy, gdy będziemy mieli pewność, że lud będzie z nami. Nie teorya ma tu decydować, podług której wyobrażamy sobie, że tak jak my, tak i lud wolności pragnie. My co innego. Masy nie troszczą się o to, jaki jest rząd, masy nie myślą, tylko słuchają, a nie zapominajmy, że lud nasz nic nie wie o Polsce i jeżeli co wie, to dzięki niecnym zabiegom pewnie nie dobrego. Ażebyśmy mogli lud z sobą pociągnąć, to musielibyśmy posiadać jego przywiązanie i żeby żadnej krzywdy nie miał nam do wyrzucenia. Musielibyśmy najpierw z ludem się obrachować, zadane rany mu zagoić a jakżeż to trudno o sumienny taki obrachunek! Oto tu jest punkt ciężkości — mówił — i nie zwyciężymy wrogów, póki siebie samych nie zwyciężymy, póki rodowy przesąd z nas nie ustąpi. Ale nie zatrzymujmy się w zaczętem dziele, róbmy

to, co nam obowiązek każe, a resztę zdajmy na Boga. Dążmy do tego, aby lud oświecać, zaprowadzajmy szkoły. My nie wiemy, kiedy powstaniemy, ale z każdą szkołą spłacamy dług ojczyźnie, bo tylko przez oświatę może się lud dowiedzieć, kim jest.“

Takie było jego przekonanie, z którego jasno wypływa, że Wiśniowski osobiście nie był zwolennikiem natychmiastowego, zbrojnego powstania a zarazem przeciwnym był propagandzie rewolucyjnej, wiedzionej między ludem wiejskim bez dostatecznego, poprzedniego uświadomienia ciemnych mas pod względem narodowościowym.

Wracając do grudniowej narady, odbytej w Wojsławskim dworze, nadmienić wypadnie, iż Wiśniowski na żądanie Wiesiołowskiego zdał jak najdokładniejszą relację z swych czynności organizacyjnych. Wydobyszy mapę Polski, (zachowaną obecnie w muzeum narodowem w Rapperswyłu), wskazał zgromadzonym ważniejsze punkty zborne, wyznaczone dla związkowych galicyjskich, przyczem szczególniejszą zwracał uwagę na miejscowości, w których istniały załogi wojskowe. Celem rozbrojenia takowych posiadał on niemal wszędzie dostateczne siły powstańcze, rekrutujące się zarówno z klas inteligencji mieszczańskiej, jakoteż z kół ziemiańskich. Po wysłuchaniu tego sprawozdania nastąpił ponowny rozdział czynności, w myśl którego Wiśniowskiemu dostały się obwody: stanisławowski i brzeżański. Nie poprzestawał wszakże gorliwy emisaryusz na obowiązkowych swych zajęciach, lecz mimo pościgu policyi, która już w owym czasie rozesłała na wsze strony dokładne jego rysopisy, wraz z nakazem ujęcia, uwijał się nieustraszenie zarówno w cyrkułe stryjskim, gdzie po raz ostatni zjechał się z Wiesiołowskim u Korzelińskich, jakoteż w Tarnopolskiem i w Złoczowskiem, gdzie w osobach pómo-

rzańskiego proboszcza, księdza Szersznika, tudzież cząstkowych właścicieli Manajowa, Szczuckiego i Zamorskiego, gorliwych znajdował pomocników. Zdawać się zaiste mogło, iż Opatrzność czuwa nad krokami tego męża który z hasłem wolności na ustach, przemykał się bezpiecznie wśród nieustannej pogoni policyjnych zbirów, landsdragonów, a co gorsza, wśród zdemoralizowanej poduszczeniami biurokracyi ludności wiejskiej. Dzięki niestrudzonym swym zabiegom posiadał Wiśniowski już w grudniu 1845 r. w cyrkułach samborskim, stryjskim, kołomyjskim, tarnopolskim, czortkowskim i brzeżańskim, około trzydziestu agentów, działających gorliwie na rzecz powstania, a rekrutujących się głównie z księży, właścicieli dóbr, dzierżawców, mandataryuszów, oraz z innych urzędników prywatnych, zaś ostatnie dnię tegoż roku poświęcił niestrudzony emisaryusz ostatecznemu zorganizowaniu cyrkułu złoczowskiego.

Te zajęcia, oraz czynność władz rządowych, śledzących z szczególniejszą podejrzliwością podróżujących, były zapewne powodem, iż Wiśniowski nie brał udziału w zjeździe emisaryuszów, oraz główniejszych kierowników gotującego się powstania, odbytym w Krakowie między ósmym a dwudziestym szóstym stycznia 1846 roku. Ogółem odbyli wówczas związkowi cztery narady. Na pierwszej z nich oznaczono termin wybuchu powstania na dzień dwudziesty pierwszy lutego t. r. a oraz wybrano do składu rządu narodowego: Alcyatę, jako przedstawiciela emigracyi, Libelta z Wielkopolski, Gorzkowskiego z Krakowa i Wiesiołowskiego z Galicyi. Sekretaryat rządu powierzono Heltmanowi. Rząd ten miał się ukonstytuować z chwilą przybycia Libelta i Alcyaty do Krakowa, przybierając sobie przedstawiciela Królestwa Polskiego. Równocześnie miano zawiesić udział narodu w sądownictwie,



oraz we wszelkich działaniach publicznych, tudzież prawo asocjacji i wolności druku, aż do ukończenia rewolucyi. Omówienie działań wojennych, tudzież instrukcja dla władz rewolucyjnych, zaprojektowana przez Centralizacyę, tworzyły przedmiot obrad w ciągu następnych schadzek i ostatecznie zgodzono się na powierzenie Rządowi Narodowemu, władzy najwyższej, nieograniczonej aż do chwili uwolnienia Polski od najazdu, w którym to czasie zwołany sejm ustawodawczy zajmie się przyszłą organizacyą państwową, Całą Polskę podzielono na pięć prowincyj, (Poznań i Prusy, Galicyę, Królestwo, Ruś i Litwę), z wielkorządcami na czele, którzy do pomocy dobrać sobie mieli inspektorów generalnych, a oraz zamianować trybunał rewolucyjny pierwszej instancji, złożony z pięciu członków. Wyroki tego trybunału szły pod zatwierdzenie rządu narodowego, jako sądu najwyższego. Cały kraj miał powstać w jednym dniu i godzinie, tworząc z ochotników, pod broń zgromadzonych, trzy powołania. W końcu uchwalono, że cała Polska w stanie rewolucyjnym jest wspólną własnością wszystkich, oraz nakazano bezwarunkowe posłuszeństwo władzom narodowym ze strony mieszkańców.

Sprawy galicyjskie zajęły związkowym osobne posiedzenie, odbyte w dniu 24 stycznia t. r. i po wysłuchaniu sprawozdania Wiesiołowskiego, zaofiarowano mu wielkorządztwo Galicji, powołując w jego miejsce do składu Rządu Narodowego Tyssowskiego, a oraz zamianowano Wiśniowskiego prezesem Trybunału rewolucyjnego dla Galicji. W myśl tej nominacji powinien był Wiśniowski w dniu 21 lutego znaleźć się w Jordanowie, w Sądeckiem, gdzie po wybuchu rewolucyi nastąpiłaby proklamacya władz narodowych, galicyjskich.

Niespodziewany zbieg okoliczności pokrzyżował plany spiskowych. Tłumne aresztowania związkowych poznańskich przez władze pruskie, oraz obława policyjna, zarządzona w nocy z dwunastego na trzynastego lutego we Lwowie przeciw spiskowcom miejscowym, spowodowały przyspieszenie wybuchu rewolucyi. Leon Czechowski, zamianowany przez Wiesiołowskiego dowódcą siły zbrojnej w Tarnowskiem, postanowił na własną rękę przyspieszyć termin wybuchu powstania. W nocy z ośmnastego na dziewiętnastego lutego miał nastąpić atak powstańców na Tarnów, lecz związkowych uprzedziła biurokracya, dając podburzonej przez nią chłopskiej czerni hasło do rzezi!

Tak więc spiskowcy, działający we wschodniej części kraju pozostali bez żadnej wiadomości o przyspieszonym terminie powstania, oraz o okropnościach, których widownią stała się zachodnia Galicya. Warty chłopskie strzegły pilnie gościńców i żaden zwiastun klęski nie zdołał dość wcześnie ostrzedz nieszczęsnych o smutnym losie ich ziomków. W przeważnej części cyrkułów, za Sanem położonych, związkowi widząc zbyt słabe swe siły, rozchodzili się do domów lub padali ofiarą aresztowań, dokonywanych przez władzę lub przez chłopstwo, odstawiające powiązanych panów do urzędu, a tylko w Horożanie i w Narajowie przyszło do krwawych starć, z bronią w rękę. W Horożanie bohaterski opór, stawiany przez powstańców, zgromadzonych u mandataryusza Czaplickiego, podniecił chłopów do morderstwa i pożogi, zaś w Narajowie garstka walecznych, zbrojna tylko w broń myśliwską, uderzyła na trzykroć silniejszy oddział wojska i determinacyą swą zniewoliła żołnierzy do ucieczki. W hufcu tych walecznych znalazł się też Wiśniowski.

Według dawniej powziętego planu, punktem zbornym dla powstańców okolicznych była karczma duża pod Narajowem, zwana: Kragła, leżąca przy rządowym gościńcu. Liczono na dwustu pięćdziesięciu zbrojnych, którzy w połączeniu z drugim oddziałem, gromadzącym się w Putatorach pod wodzą Ignacego hr. Komorowskiego, uderzyć mieli na Narajów, a po rozbrojeniu załogującego tamże szwadronu szóstego pułku huzarów, zamierzali opanować Brzeżany. Ale sroga zima utrudniała stawienie się o oznaczonej porze związkowych, zwłaszcza z dalszych dążących okolic i wieczorem dwudziestego pierwszego lutego zaledwo trzydziestu uzbrojonych powstańców zebrało się w izbie gościnnej „Kragłej“. Prócz Teofila Wiśniowskiego znaleźli się tamże: Franciszek Romański, trzech bracia Stokowscy, Henryk Schmitt i inni. Uzbrojeni w pojedynki i dwururki, niektórzy z pistoletami, wetkniętymi za pas, przepełniali gwarem niewielką izdebkę, służącą zazwyczaj przejezdnym, a leżącą tuż naprzeciw szynkowni. Wiśniowski zawezwał obecnych do przysięgi. Wśród grobowej ciszy przedstawił się zebrany jako komisarz Rządu Narodowego i gorącemi słowy zawezwał ich do złożenia przyrzeczenia, iż nie prędzej broń złożą, aż nieprzyjaciół z kraju ustąpi.

Z podniesioną w górę prawicą, wszyscy powtórzyli słowo: Przysięgamy! i otoczyli kołem Wiśniowskiego, by dłoń jego uścisnąć. Zarazem oznajmił on oddziałowi, iż najbliższym celem pochodu będzie zaatakowanie narajowskiego szwadronu huzarów, gdy wtem nagle, z ciemnej sieni karczemnej, padł strzał na powstańców. W tej chwili dwaj powstańcy, najbliżej drzwi stojący, dali ognia w kierunku strzału i cała ich gromadka runęła do sieni, by przekonać się o przyczynie alarmu. Jak się później okazało, aręndarz Leib Moor, podsłuchawszy rozmowę związkowych, zawią-



domił za pośrednictwem znajomego chłopca kome-  
danta huzarów, rotmistrza hr. Löwensteina, o groma-  
dzących się w karczmie powstańcach, skutkiem czego  
tenże wysłał do „Kragłej“ patrol z podoficerem na czele.  
Jeden z huzarów zsiadł opodal z konia i podczas  
przysięgi, składanej przez powstańców, podszedł pod  
karczmę, a następnie wkradł się niewidziany przez  
nikogo do sieni, z kąd strzelił do zebranego grona  
z pistoletu. Szeregowiec ów, podobno Kiss nazwiskiem,  
przepłacił swą śmiałość ciężką raną od kuli powstań-  
czej a równocześnie dwaj włościanie, znajdujący się  
w szynkowni, padli od wystrzałów związkowych. Tak  
przynajmniej utrzymywały urzędowe relacye, złożone  
władzy gubernialnej.

Odgłos strzałów oraz tętent koni umykającego  
ku miasteczku podjazdu, kazały powstańcom działać  
jaknajspieszniej. Wszyscy wybiegli przed karczmę i  
poczęli stawać do szeregu, gdy ozwało się kilka gło-  
sów z zapytaniem, kto będzie dowodził? Zwrócono  
się z tem w pierwszej chwili do Józefa Wysockiego,  
jako najbardziej znanego w tem gronie. Gdy ten je-  
dnak odmówił, ozwał się stojący tuż obok niego Ka-  
miński: A to ja wezmę komendę! i przybrawszy so-  
bie do pomocy Zygmunta Grochowskiego, jał spra-  
wiać oddziałek do pochodu. Było ich razem trzydzie-  
stu dwóch, uszykowanych w szesnaście par i kroczą-  
cych dwójkami, śladem wozów lub sań, wyźłobionym  
po gościńcu, gdyż po obu stronach drogi śnieg leżał  
wyżej pasa. Wiśniowski szedł podczas marszu luzem,  
czasem wysuwając się naprzód, to znów przyzostając  
w tyle i nieustannie przestrzegał powstańców, jak się  
mają zachować przy spotkaniu z huzarami, którzy  
wczas przestrzeżenia, niezawodnie już wyszli na ich  
spotkanie. Jakoż po chwili dał się słyszeć na drodze  
od strony miasteczka odgłos kopyt końskich, stąpają-

cych po ubitym śniegu i brzęk szabel huzarskich. Komenda: Baczność! rozległa się w kolumnie powstańczej, a Wiśniowski jeszcze raz upomniał towarzyszków, by nie marnowali strzałów na darmo, lecz gdy przyjdzie do starcia, rozstąpili się, przepuścili huzarów, jadących dwójkami, między siebie i najbliższego brali na cel...

Jeszcze nie skończył mówić Wiśniowski, gdy pierwsze kulki huzarskie przeleciały nad głowami powstańców, którzy z okrzykiem: hurra! dali salwę do przeciwnika. Dwa trupy i kilku rannych żołnierzy zsunęło się z siodła, kilka koni skaleczonych jęło ponosić jeźdźców po polu, a zastraszony komendant dał hasło do odwrotu. W miejscu zawrócił się półszwadron i dawszy kóniom ostrogi pociągnął za sobą do ucieczki drugą połowę szwadronu, uszykowaną pod miasteczkiem. Gdyby wicher przelecieli huzary przez Narajów i nie oparli się aż w Brzeżanach, przeraższy tamtejszą załogę wieścią o tłumach nadciągających powstańców, którzy z zwyciężkim okrzykiem weszli za uciekającymi do miasteczka. Zrazu postępowali z zachowaniem wszelkiej ostrożności, gdyż Wiśniowski zwrócił uwagę Kamińskiego na możliwość zasadzki. Ale o tem nie myślał wcale nieprzyjaciół, oddalający się jak najszybciej w kierunku Brzeżan i zaledwo dwa strzały padły na powstańców z za opłotków. Pochodziły zapewne od huzarów, którzy zabawiwszy się zbyt długo w szynku — był to dzień wypłaty żołdu — spieszyli za swym oddziałem, chcąc uniknąć surowej kary. Zresztą w miasteczku panowała cisza grobowa; mieszkańcy spali, albo też przerażeni strzałami, zaryglowali się szczelnie w swych domostwach. Rynek, na którym zatrzymali się związkowi, pusty był, gdyby wymiótł.

„Złożono tedy na prędce radę wojenną, co dalej czynić” — pisze w skreślonej na naszą prośbę relacji, jeden z ostatnich, żyjących jeszcze uczestników narajowskiej wyprawy, czcigodny Apolinary Stokowski. — „Nic nie przemawiało za tem, aby iść dalej, lub zostać na miejscu. Przeciwnie, wszystko za tem, aby jaknajprędzej się wynosić i Panu Bogu podziękować, że się tak skończyło, bo mogło być bardzo źle z nami. Noc otulała tę garstkę swym ciemnym płaszczem, a usposobienie załogi w Narajowie i jego przestraszonych mieszkańców ochroniło nas od nieszczęścia, jakie nad nami wisiało. Pomimo niby-zwycięstwa, odnieśliśmy moralną klęskę, doznaliśmy zawodu. Nastąpiło rozczarowanie, więc powracaliśmy w przygnębiającem milczeniu”.

Ustępując z Narajowa, zatrzymali się związkowi w „Kragłej”, z której arendarz, lękając się słusznego odwetu, umknął wraz z całą rodziną, pozostawiając karcznię na łaskę losu. Po dokładniejszym zbadaniu obszernego zabudowania, odkryto w niem wszakże dwoje sanek, które furmani ze strachu odbiegli, porzuciwszy konie wraz z uprzężą. Na jednych saniach umieścili się słabsi towarzysze, na drugich Wiśniowski wraz z Henrykiem Schmittem, oraz z jednym jeszcze związkowym i ruszyli do Błotni. Zatrzymawszy się w tamtejszej karczmie, opowiadali, iż powracają z polowania, lecz mimo późnej pory gromadka chłopów, wysiadująca przy kieliszku, zaczęła się panom podejrzliwie przyglądać... Widocznie wiedziano już o tem, co zaszło pod Narajowem, a w przypuszczeniu tem utwierdził związkowych fakt, iż chłopci, porozumiawszy się szeptem między sobą, wyszli z karczmy i niebawem zaczęli się nawoływać wśród chałup. Nie tracąc więc czasu, siedli nadciągający pieszo powstańcy wraz z Wiśniowskim i z przybyłymi poprzednio związko-



wymi na spotkanie w tamtejszej karczmie sanie i rozejchali się w rozmaite strony do domów. Wiśniowski wraz z częścią narajowskiego oddziału pospieszył do Pomorzan, gdzie u proboszcza Antoniego Szersznika, znalazł gościnne przyjęcie. Napróżno jednak oczekiwał przybycia związkowych z Putator. Rozeszli się, jak wielu innych, bezradnie, a gdy nadto ludność pomorzańska poczęła się burzyć i wygrażać powstańcom, dał Wiśniowski pozostałej przy nim garstce zlecenie rozejścia się, sam zaś, nie czując się dość bezpiecznym w Pomorzanach, udał się do Manajowa, który z dawien dawna stanowił przytułek dla emisaryuszów, gdyż prócz wspomnianych już poprzednio Szczuckiego i Zamorskiego, przebywały tamże jako cząstkowi właściciele, znane z patryotyzmu rodziny Kruszelnickich i Garwolińskich. Widocznie jednak dążył Wiśniowski do swej kryjówki nienajkrótszą drogą, gdyż przybył tam dopiero około piątego marca, a tymczasem między ludem okolicznym rozeszła się wiadomość o ogłoszonej na jego głowę nagrodzie rządowej w sumie tysiąca złotych reńskich. Doszedłszy do Manajowa, nie udał się Wiśniowski do wsi, lecz chcąc się doczekać zmroku, ukrył się na brogu siana w chłopskiej pasiece, gdzie znużony drogą, zapalił fajkę. Dym z niej ulatujący, zwrócił uwagę przechodzącego chłopą, Iwana Budnika, który zajrzawszy do wnętrza obejścia spostrzegł na sianie leżącego księdza. W tem bowiem przebraniu sądził Wiśniowski, iż zdoła pozyskać łatwiej pomoc ludu podczas ucieczki. Nieznany ksiądz opowiedział Budnikowi, że jest Benedyktem Lewińskim, duchownym z za kordonu, ściganym przez rząd rosyjski z powodu nieprzyjęcia szyszmy. Budnik wysłuchał owej opowieści, udając, że jej wierzy, i przyrzekłszy Wiśniowskiemu, iż niebawem przyniesie mu posiłek, udał się coprędzej do ruskiego parocha w Batkowie,

księdza Strumińskiego, po radę. Ksiądz doradził chłopu ujęcie zbiega i odstawienie go do Złoczowa, co też uskutecznił Budnik, dobrawszy sobie do pomocy brata swego, Atanazego, tudzież kilku sąsiadów. Pojmany nie stawiał wcale oporu swym prześladowcom, którzy go pod strażą odwieźli do urzędu cyrkularnego w Złoczowie. Tak przedstawia się w rzeczywistości fakt pojmania Wiśniowskiego według relacji ówczesnych dziedziców Manajowa, podanej nam przez Juliana Horoszkiewicza.

Zamorski, dowiedziawszy się o schwytaniu nieznanego księdza, w którym dorożumiewał się Wiśniowskiego, postanowił go ratować i corychlej pospieszył do Złoczowa. W rzeczy samej udało mu się wyprzedzić chłopski konwój i usilnemi przedstawieniami zdołał nakłonić miejscowego starostę, Andrzejskiego, iż rzekomego księdza kazał pozostawić na wolnej stopie w mieście. Za kilka dni przyjaciele mieli ułatwić Wiśniowskiemu ucieczkę. Los zrządził inaczej. Podobno jeden z więźniów stanu, przywieziony do Lwowa, wygadał się w śledztwie, iż widział w Złoczowie Wiśniowskiego... Zaraz też wysłano na miejsce aktuaryusza kryminalnego, Wiktora Sellyeya, który znał go jeszcze z czasów poprzedniego śledztwa. Za przyjazdem do Złoczowa, nie omieszkał Sellyey wskazać, że pod sutanną mniemanego Lewińskiego ukrywa się tak pilnie poszukiwany emisaryusz, którego też okutego w kajdany, przewieziono do Lwowa. Budnicy otrzymali judaszową nagrodę.

Los więźnia był już z góry postanowiony.

#### IV.

Ogromna liczba aresztowań, zarządzonych przez władze prowincyalne zaraz w pierwszej chwili po wybuchu rewolucyi lutowej, spowodowała rząd wiedeń-

ski do pewnych ustępstw. Już z końcem marca 1846 r. pojawiło się rozporządzenie gubernialne, nakazujące władzom cyrkularnym, by na własną rękę puszczały na wolną stopę wszystkich aresztowanych, co do których nie zachodzą jawne dowody winy. Ulga ta była konieczna, gdyż w owym czasie liczono w Galicyi, kilka tysięcy więźniów stanu. Do śledztwa zakwalifikowano jedynie naczelników ruchu, ich pomocników, więźniów, którzy już poprzednio pozostawali pod zarzutem zbrodni stanu i nie zostali za niewinnych uznani, urzędników publicznych, tudzież księży. Osobne rozporządzenie, wydane w dniu 24 lutego t. r. zalecało sądom kryminalnym, by nie wdając się w ściganie współwinnych i uczestników zamachu, starały się w najkrótszym czasie ukończyć śledztwo. Mimo tych ograniczeń, liczba rozpoczętych w Galicyi i w Krakowie procesów politycznych przedstawiała olbrzymią cyfrę 434 spraw.

Chcąc osłabić choćby w części niekorzystne wrażenie, wywołane przebiegiem wypadków lutowych za granicą, nie omieszczał rząd austriacki rozgłaszać za pośrednictwem oddanych mu dzienników rozmaitych, tendencyjnych wiadomości o owym monstrualnym procesie. Prym pod tym względem wiodła, podobnie jak to miało miejsce w latach poprzednich, *Powszechna Gazeta Augsburska*, która już z początkiem sierpnia t. r. zapewniała swych czytelników, iż przeważna część uczestników lutowej rewolucyi odzyska niebawem wolność, jako nieprzekonana o zbrojny udział w powstaniu. Niemniej inspirowaną przez rząd wiedeński, była korespondencya, zamieszczona w temże piśmie w dniu 29 października, a domagająca się, by po ukończeniu śledztwa z przestępcami stanu, wynik dochodzeń został podany bezwzględnie do publicznej wiadomości. Zdaniem korespondenta, rządy, zarówno



austryacki, jak rosyjski i pruski, nie powinny były nikogo oszczędzać, a tylko bronić swojej dobrej sławy, szarpanej złośliwie oszczerstwem szeroko rozgałęzionego po całej Europie związku... Nie trudno przyszło odgadnąć właściwą tendencję owych enuncyacji, które nie były niczem innem, jak tylko przygotowaniem opinii publicznej w Niemczech do tajemnicy, jaką rząd austriacki otoczyć był zniewolony przebieg całej sprawy. Nie chcąc odsłaniać zbrodniczych zamachów biurokracyi, rzucał on mrok tajemniczy, na ów proces, rzekomo dla salwowania honoru szlachty polskiej, którą półgębkiem oskarżał o komunistyczne aspiracje... a równocześnie rozgłaszał kłamliwe wieści o wichrzeniach polskich i francuskich emisaryuszów w Galicyi, rzekomo rozzuchwalonych łagodnem postępowaniem władz austriackich. Ta ostatnia bajeczka miała niewątpliwie na celu usprawiedliwienie zarządzenia o sądach doraźnych, w Galicyi zaprowadzonych, tudzież surowych wyroków, orzekanych przez sąd kryminalny lwowski.

Wiśniowski, osadzony w pokarmelickiem więzieniu przy dzisiejszej ulicy Batorego, zajmował jedną z cel, przylegających do dawnego kościoła, (dziś gmach gimnazyalny im. Franciszka Józefa) i okuty był nieustannie w kajdany. Śledztwo w jego sprawie prowadził radca Karol Pohlberg, członek tak zwanego czarnego biura w kryminale lwowskim, cieszący się szczególniejszem zaufaniem rządu i dlatego używany wyłącznie do spraw politycznych największej wagi. Nieprzyjaciel Polaków w ogólności, był Pohlberg ciekawym okazem liberała biurokratycznego, wyznającego zasadę, że w Polsce, poza obrębem klasy urzędniczej, nikt nie dorósł do wolności... Mimo powolnego biegu procedury ówczesnej, śledztwo w sprawie Wiśniowskiego postępowało wcale szybko, gdyż

już w dniu dziesiątym września 1846 r. zapadł wyrok pierwszej instancji. Uznany jako winny zbrodni stanu, skazany został Wiśniowski na karę śmierci przez powieszenie. Wyrok rzeczony wymagał zatwierdzenia wyższych instancji sądowych, a tymczasem nieszczęśny skazaniec pędził dnie smutne wśród osamotnienia, pozbawiony wiadomości o swej najbliższej rodzinie. Z owych też czasów pochodzą listy Teofila, zachowane po części przez osoby prywatne, po części zaś złożone w muzeum narodowem w Raperswyłu.

Listy te, pisane pod kontrolą wspomnianego już poprzednio Sellyeya, nie przynoszą oczywiście żadnych nowych szczegółów do procesu więźnia, lecz są boleśnym wyrazem tęsknoty niepewności, szarpiących serce Teofila, pozbawionego wszelkich wiadomości od żony i rodziny. Ogółem listów Wiśniowskiego, kreślonych z murów więziennych, znamy dotychczas pięć. Trzy pierwsze, pisane są do brata, Jana Wiśniowskiego, przebywającego w Korolówce, pod Kołomyją, a następnie w Gwoźdciu.

Oto treść pierwszego pisma :

„Kochany Bracie! Od czasu uwięzienia mojego, nie mając żadnej wiadomości od mojej żony, pisałem przed parą miesiącami do Ciebie, prosząc Cię, byś mi doniósł, co się z moją żoną dzieje i jeżeli ona nie może do mnie przyjechać, by z Was który przyjechał dla rozmówienia się w interesach familijnych. Nie pojmuję, co was wstrzymywać może od zgłoszenia się do mnie. Czy się mnie, jako w nieszczęściu będącego wyrzekacie? Niespodziewałbym się tego. Jakkolwiek bądź, jest to raz ostatni, co piszę do Ciebie i do żony za recepisą zwrotną, dla przekonania się, czyli was istotnie dojdzie. Proszę Cię, pojedź natychmiast do

Kornelii\*) i odwrotną pocztą donieś mi, co się tam dzieje. Na 18go t. m. oczekuję odpowiedzi od Was i starajcie się do mnie przyjechać, dla rozmówienia się w interesach familijnych. Sciskam Was wszystkich serdecznie Wasz brat Teofil Wiśniowski“.

„10 grudnia 1846. Pisz do mnie na ręce JWgo Prezesa Sądu kryminalnego lwowskiego. Moja inkwizycja jeszcze w sierpniu skończona“.

Nie znamy niestety treści odpowiedzi Jana Wiśniowskiego, lecz widocznie uspokoiła ona choć w części Teofila, który w dwa tygodnie później pisze do brata co następuje:

„Kochany bracie! Dziękuję Ci bardzo za list, który do mnie pisałeś, jako też i wszystkim, co się przypisali; lecz dlaczego nie piszesz otwarciej, co robisz w Gwoźdzu i dlaczego jesteś w biedzie — a szczególnie, dlaczego mi o tem otwarciu nie piszesz, co mię najbardziej obchodzi, to jest o mojej żonie. Tak długie jej milczenie musiało mię naprowadzić na domniemanie, że ona już nie żyje. Musiała niestety uleść pod nieszczęściami, które ją od lat ośmiu prześladowały. To domniemanie już dziś dla mnie jest pewnością i chciałbym tylko o bliższych szczegółach wiedzieć. Proszę Was więc, nie ociągajcie się z opisaniem tego dla mnie smutnego wypadku. Nie mniemaj, że zostawanie w niepewności mniej dotkliwie być może. Donieś mi także, w jakim stanie jej interesa zostały. Życzę wam wszystkim wszelkich pomyślności i ściskam najserdeczniej Wasz brat Teofil Wiśniowski“.

29 grudnia 1846 r. Jestem zdrów zupełnie.

List następny, bez daty, lecz niezawodnie pisany już po wyprawieniu dwu poprzednich, zawiera znów

---

\*) To imię nosiła żona Teofila



skargi nieszczęśliwego z powodu braku wiadomości o żonie.

„Kochany Bracie!“ — pisze Teofil do Jana — „Jeszcze raz muszę Wam przypomnieć, że macie brata, o którym zapominać się nie godzi, chociaż jest w nieszczęściu. Przyrzekłeś mi pisywać, a nawet przysłać list Kornelii i oto trzy miesiące już mija, a ja nic nie widzę. W tym samym czasie odwiedziła mnie także Piwkowa\*). Mówiła, że Kornelii o mojem położeniu mówić nie można. Przyrzekła mi jednak pisywać i znowu trzy miesiące daremnie oczekuję. Ta jej troskliwość z jednej, a obojętność z drugiej strony, jest mi bardzo podejrzana. Proszę Was zatem, niech kto z Was, rozumie się, jeżeli Kornelia żyje, dojedzie do niej, wyrozumie jej stan zdrowia i czyli to istotnie ma być niebezpieczeństwem zawiadomienie jej o mojem położeniu i mnie, o tem jak najspieszniej szczegółowo doniesie. Ja jestem zdrów zupełnie i ścisłkam Was wszystkich najserdeczniej. Wasz Brat, Teofil Wiśniowski. „\*\*)

W związku z poprzednim pozostaje też list, pisany przez Teofila z początkiem kwietnia 1847 roku do pani Julii Piwko, mieszkającej w Słobódce leśnej, a opiewający, jak następuje:

„Łaskawa Siostró Dobrodziejko! Proszę mi darować, że się naprzykrzam z moimi listami. Będzie to już raz ostatni, bo wiem, że nie mam żadnego prawa żądania, by Siostra Dobrodz. do mnie pisywała; tą razą jeszcze raz proszę, by Siostra Dobrodz. przy-

---

\*) Julia Piwko była rodzoną siostrą żony Teofila.

\*\*) Listy, pisane do Jana Wiśniowskiego, są w posiadaniu p. Jana Garbaczewskiego w Tarnowie.

najmniej przez litość raczyła mi donieść, czyli Kornelia żyje? jaki jej stan zdrowia? i czyli dotąd nie można jej było o mojem położeniu zawiadomić? a mam nadzieję, że ten miłosierny uczynek kiedyś będę mógł odwzajemnić. Tymczasem zaś proszę przyjąć zapewnienie wysokiego szacunku, z jakim jestem zawsze Siostry Dobrodz. najniższym sługą Teofil Wiśniowski. Lwów dnia 9 kwietnia 1847.“ \*)

Z pisma tego zdawałoby się wypływać, że Wiśniowski w owym czasie łudził się jeszcze nadzieją ocalenia, jakkolwiek wyrok, skazujący go na śmierć, został zatwierdzony już w dniu 25 listopada 1846 r. przez sąd apelacyjny lwowski, gdzie referentem jego sprawy był radca Antoni Haimberger. Akta odesłano do najwyższego sądu w Wiedniu, celem zatwierdzenia zapadłych w tutejszych instancjach wyroków, które swą bezwzględnością budziły zdumienie nawet w zawodowych kołach prawniczych, utrzymujących nie bez racji, że pod względem wymiaru kary co do Wiśniowskiego, sędziowie lwowscy powodowali się instrukcjami z góry otrzymanymi, w myśl których chciano w jego osobie dać odstraszący przykład dla innych emisaryuszów.

Równocześnie z Wiśniowskim dwaj inni skazańcy zawisnąć mieli na szubienicznym słupie. Pierwszym z nich był Józef Kapuściński, obwiniony o zamordowanie burmistrza pilzneńskiego, Kaspra Markła, drugim ksiądz Leopold Kmietowicz, przywódca ludowego powstania w Chochołowie.

Obu tym osobistościom, których los złączył z Wiśniowskim, poświęcić należy słów kilka, tem bar-

---

\*) Autograf tego listu znajduje się w zachowaniu Muzeum narodowego w Rapperswylu.

Łaskawa Siostra Dobroć!

Praszę mi powiedzieć, co się naprawdy stało  
mojemu bratu, bo do tej pory nie otrzymałem  
żadnej wiadomości. Wierzę, że jest w zdrowiu, ale  
nie wiem, czy jest w domu. Proszę, jeśli jest, to  
przekazać mu, że jestem w Łodzi i że bardzo  
chcę go zobaczyć. Proszę też, aby mi powiedział, czy  
jest w domu, czy jest w pracy. Proszę, aby mi  
powiedział, czy jest w domu, czy jest w pracy.  
Proszę, aby mi powiedział, czy jest w domu, czy  
jest w pracy. Proszę, aby mi powiedział, czy  
jest w domu, czy jest w pracy. Proszę, aby mi  
powiedział, czy jest w domu, czy jest w pracy.

Łaskawo  
Dnia

1847

napisany przez

Teofil Wiśniowski



dziej, iż sprawa Kapuścińskiego, straconego równocześnie z bohaterem niniejszej opowieści, błędnie dotychczas i tendencyjnie była przedstawiana. Dzięki udzielonym nam łaskawie rękopiśmiennym relacyom Franciszka Wolańskiego i Eustachego Szumańskiego, współwięźniów stanu z roku 1846, możemy garść nowych szczegółów dorzucić do znanego dotychczas przebiegu procesu Kapuścińskiego, szczegółów, w odmiennem przedstawiających świetle rzeczywisty stan jego sprawy.

Kapuściński, urodzony w roku 1817 w Gorlicach, był przed wypadkami lutowymi kancelistą magistratu pilzneńskiego, a zarazem brał żywy udział w obradach i czynnościach tamtejszego kółka związkowych, do którego zaliczali się między innymi: nauczyciel miejscowy Bełdowski, ekspedytor pocztowy Gabryel Wanielewicz, tudzież bracia Eustachy i Leon Szumańscy, gorzelnik i oficyalista prywatny z Łąk Dolnych Zebrania związkowych odbywały się zazwyczaj w mieszkaniu Bełdowskiego a jednym z głównych przedmiotów obrad bezpośrednio przed wybuchem powstania, była kwestya, jak postąpić należy wobec Kaspra Markła, burmistrza w Pilźnie, najgorliwszego pomocnika starosty Breinla w dziele podburzania chłopów przeciwko szlachcie. Od dłuższego czasu uważał bowiem Kapuściński, iż w dnie targowe oraz w niedzielę i w święta przychodzili do burmistrza chłopci okoliczni, z którymi on się zamykał na poufną rozmowę w kancelaryi w godzinach pourzędowych.

Tajemniczość owych narad, tudzież zuchwałe pogróżki, z jakimi chłopci dawali się słyszeć, były powodem, iż Kapuściński począł śledzić swego przełożonego i pewnego dnia, w południe, ukryty w szafie z papierami urzędowymi, przekonał się na własne uszy, że Markł podburza chłopów przeciw panom,

pouczać ich, jak mają się zachować na wypadek wybuchu rewolucyi. Ponieważ kancelarya gminna przez cały dzień stała otworem, przeto po odejściu włościan, udało się Kapuścińskiemu wyjść niepostrzeżenie z biura, poczem zawiadomił związkowych o postępowaniu burmistrza. Uradzono wspólnie, iż w chwili rozpoczęcia działań powstańczych, należy Markła ująć i odstawić do Lisiej góry, gdzie był punkt zborny okolicznych związkowych. Tak więc dziewiętnastego lutego, przed północą, udał się Kapuściński w towarzystwie sześciu powstańców do mieszkania Markła, zostawiwszy poprzednio Metodęgo Janikowskiego na straży przy poczmistrzu, Pawliczku, któremu zalecił przygotowanie dwu szybkowozów do jazdy. Doszedłszy do domu, w którym mieszkał Markł, a był to budynek odosobniony, położony poniżej rynku, przy gościńcu lwowskim, wpadli powstańcy do wnętrza domostwa, podczas gdy szesnastoletni Szymon Gorecki, uzbrojony w halabardę nocnego stróża, stał w dziedzińcu, pilnując zamkniętych w komórce chłopów, których burmistrz, przewidując katastrofę, sprowadził dla osobistej obrony. Po krótkim szamotaniu się z napastnikami, Markł chciał uciec z sieni na podwórze, a wówczas jeden z związkowych zawołał: pilnuj! W tej chwili Gorecki, widząc wypadającego z drzwi wchodowych burmistrza, pchnął go tak silnie swą dzidą, iż ugodzony padł na miejscu. Dalsze losy związkowych pilźnieńskich są znane. Uchodzących pocztowymi końmi schwytało chłopstwo przy lisiogórskiej karczmie i zbitych, powiązanych odstawiło do Tarnowa, gdzie Gorecki zaraz przy pierwszej indagacyi przyznał się do popełnionego czynu, który zresztą potwierdzała odebrana mu przy pojmaniu, krwią zbaczona pika. Mimoto, nie Goreckiego, lecz Kapuścińskiego uznał sąd winnym popełnionego na osobie

Kaspra Markła morderstwa, jakkolwiek badany do ostatniej chwili zapierał się zarzuconej mu zbrodni. Sądy lwowskie, kryminalny i apelacyjny, wydały zgodnie w styczniu i w lutym 1847 roku wyrok, skazujący Kapuścińskiego jako przestępcę stanu i mordercę na karę śmierci przez powieszenie, podczas gdy innych uczestników pilzneńskiego zamachu skazano na karę więzienia od lat dwunastu do dwudziestu. Wtajemniczeni utrzymywali, że w Kapuścińskim chciała władza ukarać rządowego urzędnika, który ośmielił się przyłączyć do buntu...

Trzecim w tem gronie skazańców miał być ksiądz Leopold Kmiotowicz, proboszcz chochołowski i przywódca tamtejszego powstania ludowego, które — jak to słusznie ktoś zauważył — było jedynym, jaśniejszym promieniem wśród ogólnej sromoty! On to przy pomocy swego organisty, Jana Andruszkiewicza, żołnierza z listopadowej rewolucyi, zdołał tak skutecznie wpłynąć na swych parafian, iż na wieść o powstaniu pięciuset zbrojnych w kosy chłopów stanęło na rozkazy proboszcza. Dzielny ten zastęp górali zwiódł nawet zwycięzką utarczkę z strażnikami skarbowymi, którzy na czele chłopskiej ruchawki z Czarnego Dunajca wyruszyli na poskromienie Chochołowa. Niebawem wszakże uledez musiał oddział Kmiotowicza przemocy wojska i spędzonej z całej okolicy obławy chłopskiej, a przy ujęciu ukochanego księdza, oraz Andruszkiewicza, omal, że nie przyszło do ponownego rozruchu, gdyż górale nie chcieli odstąpić swych przywódców. Kmiotowicz, podobnie jak Wiśniowski i Kapuściński, skazany został na szubienicę, ale instancya książąt Kościół, ocaliła nieszczęsną ofiarę od katowskiego powroza. Jak głoszone, wszyscy biskupi galicyjscy oświadczyli się przeciw zdjęciu z skazanego kapłańskiej sakry, wobec czego karę śmierci zamie



niono księdzu Kmietowiczowi na dwudziestoletnie więzienie w Kufsteinie.

W dniu pierwszym lipca 1847 r. wyroki śmierci Wiśniowskiego i Kapuścińskiego, potwierdzone zostały przez sąd najwyższy w Wiedniu, lecz fakt ten utrzymywano w jak najściślejszej tajemnicy, dzięki czemu w całym kraju a nawet w sferach urzędniczych panowało przekonanie, że do wykonania tychże nie przyjdzie. Jeszcze w niedzielę, w dniu ósmym lipca, odbywały się zwykłym trybem odwiedziny więźniów w gmachu pokarmelickim, lecz już w ciągu dwu dni następnych zabroniła władza wszelkiej komunikacji między więzieniem a miastem. Odczytywano ważniejszym więźniom wyroki, wywożąc ich wczesnym rankiem do Kufsteinu lub na berneńską Grajgórę.

Wiśniowski domyślał się od wtorku, co go czeka. Zrazu był wzruszony, głos mu się zmienił, ale w czwartek, dnia 22 lipca, odzyskał już zwykły spokój. — Żegnam was bracia — mówił do towarzyszków niedoli — gdyż mój czas się zbliża. Wspomnijcie czasem o mnie, że żyłem na świecie. Spokojni bądźcie, bo ja już oddawna na to przygotowany. W piątek, dnia 23 t. m. rozeszła się w mieście pogłoska o czytaniu wyroków, które się odbywało publicznie przed gmachem sądu kryminalnego. Ponowiły się te wieści w poniedziałek, (dnia 26 lipca) i tłumy gromadziły się bezustannie na dzisiejszej Batorego ulicy, lecz dopiero w środę, dnia 28 t. m. odbyła się ceremonia ogłoszenia wyroków. Jakkolwiek gęsty kordon wojska zamykał ulicę, nieprzejrzone okiem tłumy zgromadziły się na placu Bernardyńskim. Wszystkie okna i balkony w pobliżu wypełniły się w oka mgnieniu. Pierwszy wyszedł z drzwi więziennych Wiśniowski. W więzieniu wyłysiał, twarz mu obrzękła, oczy mgłą zasłży. Długi wąs

ocieniał jego usta. Postępował powoli gdyż nogi miał spuchnięte, obolałe i na krzyż skute kajdanami. Wstąpiwszy na pręgierz, zbudowany z desek przed balkonem zburzonego już dziś gmachu kryminalnego, spojrział w około i silnym zawołał głosem: Witam Was rodacy! Wśród tłumu zafalowało i jak kłosa na łanie za powiewem wiatru, pochyliły się głowy zgromadzonego ludu na widok przyszłego męczennika. Płacze i jęki rozległy się dokoła. Tu i owdzie kobiety mdlały. Na balkonie sądowego budynku ukazał się młody człowiek z papierem w ręku, który rozbitym, bezdźwięcznym głosem jął odczytywać treść zapadłego wyroku. Był to aktuaryusz Sellyey, któremu zupełnie zasłużenie przypadł w udziale ów zaszczyt. Wiśniowski nie słuchał czytania. Naprzód wzrok swój zwrócił ku oknu domostwa, gdzie przebywała jego rodzina. Kurcz boleśny przeleciał po jego twarzy. Ale chwilę tylko trwała ta oznaka słabości i znów wypogodzonym okiem wodził dokoła, pochylając od czasu do czasu głowę na znak powitania, podziękii, czy też pożegnania, gdy spostrzegł wśród tłumu twarz przyjaźną lub znajomą. Skończyła się wreszcie publikacya wyroku. Wiśniowski chciał w górę podnieść ręce, jak gdyby pragnął pobłogosławić obecnych, ale tylko ponury brzęk kajdan rozległ się w przestrzeni. Jeszcze jedno spojrzenie dokoła i gromkim zawołał głosem: Żegniam was Polacy!

Jęki i płacz ozwały się ponownie wśród tłumów a tuż pod pręgierzem jakiś niemłody mężczyzna wykrzyknął, ile mu sił starczyło: *Dulce et honestum est pro patria mori!* poczem zaraz otoczyła go policya, wiodąc siłą mocą na strażnicę. Tymczasem odprowadzono do więzienia Wiśniowskiego, a miejsce jego zajął na rusztowaniu Kapuściński. Atletycznej budowy, z jasną, długą po pas brodą, stawiał się butnie

sędziom. Żywa, namiętna natura tego człowieka ujawniła się w całej pełni w przededniu śmierci. Ni chwili nie ustał spokojnie, dzwonił kajdanami, a przerywając od czasu do czasu czytanie wyroku, wołał: Nieprawda! Nieprawda! To fałsz! gdy usłyszał ustęp, zarzucający mu udział w zabójstwie Markła. Śmiał się też szyderczo i powtarzał głośno, że rząd płacił chłopom za rzeź dokonaną, a słowem jego przywodziła pani Lewitowska, stojąca w jednym z okien, z tym dodatkiem, że płacono za szlacheckiego trupa po dziesięć i po piętnaście złotych. Ją też niezwłocznie aresztowała policja, zaś obu skazańców postacie szkicował ukryty w oknie jednej z kamienic sąsiednich malarz, Szczęsny Morawski. Tego samego dnia pojawiły się w mieście setki sylwetek Wiśniowskiego.

Od chwili ogłoszenia wyroków, poczęli skazanych odwiedzać księża, niosąc im ostatnią pociechę duchowną. Wychodząc z więzienia łązy mieli w oczach. Od tego też czasu dozwolono rodzinie Wiśniowskiego wstępu do jego kaźni. Skorzystali też bezzwłocznie z owego pozwolenia przebywający we Lwowie bratankowie Teofila; a synowie brata jego Wojciecha, Marceli i Jan Wiśniowscy. Ten ostatni, tułacz po rewolucyi roku 1848, obecnie przebywający w Nowym Jorku, w te słowa opisuje swe odwiedziny w więzieniu: „Na drugi dzień po ogłoszeniu wyroku“ — słowa nadesłanego nam listu — „ja z bratem moim Marce-  
lim udaliśmy się do sądu kryminalnego, gdzie były więzienia. Po wielu trudnościach pozwolono nam widzieć się z stryjem. Sala, w której się znajdował, nie była wielka. Było w niej wiele urzędników i żołnierzy. Po prawej i lewej stronie stryja, stał żołnierz z bronią, tak blisko, że prawie bagnetem twarzy jego dotykał. Gdy nas ujrzał, był mocno wzruszony, chciał



nam ręce podać, lecz były okute. Przemawiał do nas w gorących słowach, pragnął wiele mówić i wynurzyć się, lecz nam nie pozwolono długo pozostawać. Ostatnie jego słowa, które mi się mocno w pamięci wyryły, były: Kochajcie Polskę, bądźcie dobrymi ludźmi!...”

Wiśniowski gotował się na śmierć z spokojem prawdziwego chrześcijanina i człowieka, który spełnił swój obowiązek. Następnego dnia po ogłoszeniu wyroku skreślił list, który zaopatrzył następującym napisem: „Mojej kochanej żonie Kornelii Wiśniowskiej i moim kochanym braciom Janowi i Wojciechowi Wiśniowskim na ręce kochanych siostrzeńców Marcelego i Jana Wiśniowskich”.

Oto treść tego pisma: „Moi drodzy, kochani, żono i bracia! Pismo to moje jest ostatnie, które odbierzecie, bo wyrokiem cesarza austriackiego jestem na śmierć osądzony. Wyrok ten wczoraj dnia 28 lipca 1847 r. został mi ogłoszony i 31 lipca będzie wykonany. A za co? To jest publicznie wiadomo, nie ma więc o tem nic więcej mówić, jak to, że sobie nie mam nic do wyrzucenia i moje sumienie spokojne, bom żył uczciwie, spełniłem obowiązki człowieka, o ile mi siła i zdolności wystarczało. Majątku nie miałem żadnego, którymby mógł dysponować, a nawet nie mogłem testamentu zrobić, to zaś wszystko, co tu miałem do użytku mego w więzieniu, jakoteż co było w sądzie karnym lwowskim złożone, do was należy. Przyszczono mi, że to do was dojdzie, a nawet, że do rąk moich synowców: Marcelego i Jana, którzy mnie dziś odwiedzili, po spełnieniu wyroku wydanem będzie. Spodziewam się, że to nastąpi, bo nikt do tego prawa mieć nie może, tem mniej, że nawet w wyroku o kosztach procesu nie wspomniano. Pierścionek ślubny zachowam do ostatniej chwili, w której wrę-

czę go księdzu, który mi będzie towarzyszył i będę go prosił, by również moim synowcom wręczył\*.

„List ten odbierzecie, jak już żyć nie będę — darujcie mi, że z powodu mego tyle zmartwień macie a osobiwie ty, moja ukochana żono. Tyś od czasu naszego połączenia się, ciągle okropnego niepokoju i zmartwienia doznawała, bo ledwie pół roku żyliśmy razem, a te pół roku były jedynem mojem szczęściem. Wy, moi kochani bracia, macie dzieci i już wnuki. Wasze dzieci zostawiłem małe, ledwie mnie dobrze pamiętają, wspominajcie im czasem o stryju Teofilu i niech będą ludźmi uczciwymi. Wy bracia pocieszajcie moją żonę a Waszą bratową, bo ona biedna najwięcej pociechy potrzebować będzie. Żegnam Was moi kochani żono i bracia z dziećmi i wnukami, kochajcie się, jak ja Was kochałem, wspierajcie się radą i uczynkiem. Żegnam Was moi Drodzy. Z Bogiem, z Ojczyzną i z Wami do ostatniej chwili myśli moje będą. Żegnam Was, żegnam wszystkich pocziwych. Teofil Wiśniowski“.

„Jeszcze jedna prośba, do ciebie kochana żono, proszę cię, nie zapominaj o dzieciach Jana Waligórskiego. Żegnam cię, twój do ostatniej chwili. Teofil Wiśniowski. Lwów dnia 29 lipca 1847 “

„Ze znajdujących się w sądzie pieniędzy, proszę, ażeby memu koledze, więźniowi Józefowi Wysockiemu \*), sześćdziesiąt złotych w srebrze, jako mój dług bez żadnego już więcej sprawdzania wypłacone były.“

„Ponieważ ten list dziś jeszcze jest w moich rękach, więc jeszcze raz żegnam Was moi drodzy i kochani, żono i bracia, bratowe, synowce i syno-

---

\*) Józef Wysocki, oficyalista prywatny, więzień stanu z roku 1846, skazany na 20 lat więzienia.

wice. Żegnam was, żegnam wszystkich pocziwych. Teofil Wiśniowski. Lwów dnia 30 lipca 1847.“ \*)

W dniu trzydziestym lipca przyjęli skazani Św. Sakramenty. Ostatnią noc przebył Wiśniowski spokojnie. O godzinie wpół do szóstej rano musiano go zbudzić, gdyż spał snem sprawiedliwego. Dzień był smutny, pochmurny. Ubrawszy się, prosił Wiśniowski by go zaprowadzono do sali posiedzeń sądowych, gdzie byli zebrani wszyscy radcy z prezesem Wittmanem na czele. Uczyniono zadość jego życzeniu. Stawiony przed sędziami, wyrzekł te słowa: Panowie! Przyszedłem prosić was o przebaczenie za to, czem was obrazić mogłem, bo ja wam wszystko przebaczam! Następnie zaś zwróciwszy się do aktuaryusza Sellycya dodał: Tobie to mam podziękować, że idę pod szubienicę, lecz i tobie przebaczam! — Głuche milczenie zaległo salę, którą Wiśniowski wśród brzęku kajdan opuszczał...

Tymczasem już o świcie przyległe do gmachu kryminalnego ulice i place zalał tłum wielotysięczny, zachowujący uroczystą ciszę, gdyby w świątyni Pańskiej. W oknach domostw pobliskich przygotowano stosy kwiatów, którymi chciano zarzucić skazańców i dlatego władza kazała ich wywieść odmienną, niż zazwyczaj, drogą na miejsce kaźni. Z uderzeniem godziny szóstej rano, dwa szwadrony huzarów, otaczające do tej pory główną bramę więzienną, od strony ulicy Batorego, zmieniły nagle front i rozdzieliły się na osobne oddziały. Jeden z nich ulicą Kamienną, drugi placem Bernardyńskim, podążyły ku znajdującej

---

\*) Kopie tego listu, przepisane ręką Marceliego Wiśniowskiego, znajdują się w zbiorach Zakładu narod. im. Ossolińskich oraz w Muzeum nar. w Rapperswyłu.



się na tymże placu tylnej furcie więziennej, otwierając i zamykając pochód skazańców, którzy otoczeni silną strażą jechali na zwykłych, chłopskich wozach. Na pierwszym wozie siedział z krzyżem w ręku Wiśniowski w towarzystwie księdza Bernardyna, podczas gdy drugi zakonnik towarzyszył jadącemu na następnym wózku Kapuścińskiemu. Lud, zgromadzony przed kryminałem, rychło spostrzegł podstęp i zabiegł z głową obnażoną drogę skazańcom, ciskając równianki kwiatów na ich wozy, które posuwały się dzisiejszym placem Halickim i Maryackim, tudzież ulicami: Karola Ludwika, Kazimierzowską, Janowską i Kleparowską ku górze tracenia, otoczonej czworobokiem, przez wojsko sformowanym. Gdy pochód mijał kościół św. Anny, ozwał się dzwonek za konających... Poza szeregi żołnierzy, u stóp góry, wjechały wozy z skazańcami, którym teraz dopiero zdjęto kajdany. Wiśniowski rozstając się z swym spowiednikiem, wręczył mu ślubną obrączkę, zaś Kapuściński zrzucił swój surdut, oddając go chłopu powożącemu. Skoro tylko puste wozy wyjechały za kordon wojskowy, młodzież rzuciła się na nie i w mgnieniu oka rozerwała słomę, tworzącą siedzenie straceńców.

Wiśniowski zginął z okrzykiem: Niech żyje Polska! któremu przywodził Kapuściński, wołając: Bracia! Nie dajcie się odstraszyć śmiercią moją.. reszty już nie domówił. Egzekucyi dopełnił kat lwowski, Filip Gurski. Do wieczora ciała straconych pozostały na szubienicach. Rysy ich twarzy nie uległy żadnej zmianie, jeno Kapuścińskiemu, obcięto przed straceniem brodę, by kat łatwiej mógł mu stryczek zarzucić na szyję. Na wzgórzu ustawiono straż, złożoną z oddziału piechoty trzydziestego pułku, oraz z agentów policyjnych, lecz mimo obawy przed przesładowaniem, przybywali ukradkiem na miejsce

każni patryoci, by pomodlić się za dusze męczenników. Komendant posterunku, zacny Niemiec, Tupi, nie bronił publiczności przystępu do zwłok straconych i z jego ust dowiedziała się młodzież, dopraszająca się o jakąkolwiek pamiątkę po ofiarach, iż oficerowie, asystujący z obowiązku przy egzekucyi, mówili o śmierci Wiśniowskiego i Kapuścińskiego: *Der Erste ist wie ein Heiliger, der Zweite wie ein Löwe gestorben!*

O godzinie wpół do siódmej wieczorem zdjęto ciała ze słupów i rozebrane do bielizny, spuszczone w dół przygotowany u stóp szubienicy, a wypełniony do połowy niegaszonym wapnem. Następnie przysypano zwłoki świeżą warstwą wapna, zalano wodą i kurzący się dół zarzucono corychlej ziemią. W ten sposób zamierzała policya przeszkodzić wykradzeniu ciał z góry tracenia przez ludność. Nie obeszło się wszakże przed pogrzebaniem ofiar bez iście wzruszających epizodów. Młodzież całowała nogi straconych, a gdy przy spuszczeniu zwłok Wiśniowskiego z szubienicy, oderwał się guzik od jego surduta, podniósł takowy sławapliwie Tupi i rozpiłowawszy na kilka części, obdzielił niemi najbliżej stojących. Mniej wyrozumiałą była policya, której agenci siłą mocą wydrzeć chcieli Janowi Wiśniowskiemu kawałek drzewa, wycięty na pamiątkę z szubienicznego słupa i tylko wdanie się publiczności przeszkodziło dalszemu znęcaniu się stróżów bezpieczeństwa nad rozżalonym młodzieńcem. W chwili, gdy wodą polewano wapno, zwłoki pokrywające, rzec miał jeden z żołnierzy, pilnujących dołu, do swych towarzyszków: Hej kamraty i psu wściekłemu nie godzi się tak robić!

„Jedno jeszcze spojrzenie na kurzącą się mogiłę, jedno jeszcze serdeczne uściśnienie uczciwej dłoni komendanta i rozbiegliśmy się do domów, by nad rankiem w znaczniejszej liczbie powrócić“ — pisze

w swych wspomnieniach, użyczonych nam; Leopold Konopacki, jeden z naocznych świadków egzekucyi.

Tegoż dnia wieczorem ukazały się po ulicach Lwowa, krążące z rąk do rąk kartki, zawierające następujący dwuwiersz:

*Nie płacz nad Polską wymowna młodzi,  
Ona się taką ofiarą odrodzi!*

## V.

Stracenie Wiśniowskiego i Kapuścińskiego było wypadkiem dziejowym pierwszorzędnej wagi, a zarazem błędem strasliwym ze strony biurokratycznych rządów Metternicha, który czując wysuwający się mu z rąk ster władzy nieograniczonej, usiłował ją podtrzymać grozą szubienicy. W całej Polsce wieść o egzekucyi, wykonanej we Lwowie, wywołała jednomyślny okrzyk żalu i rozpacz, a zarazem tajone, lecz niemniej silne pragnienie odwetu. U nas oddawna tracenie szermierzy idei wolnościowej przestało wywierać wpływ odstrasżający, lecz przeciwnie nowe zastępy gorliwych prozelitów zwykło było zjednywać dla sprawy narodowej. Potępiła też stracenie ofiar lutowej rewolucyi poważna i niezależna prasa niemiecka, której najwybitniejsza przedstawicielka, *Deutsche Zeitung*, zamieściła korespondencję „Od granic Austrii“, datowaną w dniu 30 sierpnia, a opiewającą jak następuje:

„Wiśniowski i Kapuściński skończyli na szubienicy! Niech mi wolno będzie uczynić kilka uwag nad tem wielkiem zdarzeniem, bo rzeczywiście jest to zdarzenie, którego skutków nie obliczono naprzód. Przed wypowiedzeniem mego zdania, przypatrzyłem się wszystkim następstwom spełnionego we Lwowie wyroku. Ze stanowiska prawnego niema nic do powiedzenia. Skazani według ustaw austriackich zasłużyli



na śmierć i nieraz już mniejszej wagi zamachy przeciw istnjącemu *status quo* karano śmiercią. Ale inaczej egzekucya ta przedstawia się ze stanowiska politycznego. Przedewszystkiem mamy za złe rządowi austriackiemu, iż trop w trop idzie za Rosyą i że wyroki, wykonane w Warszawie, tak szybko naśladowano we Lwowie. My, a z nami znaczna część Austryaków, których zdanie zasługuje na szacunek, pragniemy, aby oba państwa niemieckie z tą samą oględnnością oceniały świeżo powzięty zamiar przywrócenia bytu rozszarpanej Polski. My i Austriacy pragniemy, aby Austria i Prusy jednakowo działały. To powiedziawszy, pozostaje nam jeszcze we właściwem świetle przedstawić nieroztropny krok Austrii. Zaiste skutki egzekucyi lwowskiej są wielkiej wagi. Egzekucya ta działa, gdyby czarodziejskie hasło! Wzburzyła całą Słowiańszczyznę, wzbudziła największe współczucie a nawet w najobojętniejszych sercach wzniciła szacunek i napełniła je podziwem. Z trudnem do opisanja uniesieniem czytali Słowianie, że ich bracia we Lwowie, wtenczas, kiedy widokiem sromotnej egzekucyi chciano wzbudzić postrach, nie zatrwożeni niebezpieczeństwem kary, jaka ich spotkać mogła, z pochodu, wiozącego skazanych pod szubienicę, zrobili orszak tryumfalny, a drogę, wiodącą na śmierć, przeobrazili w ścieżkę, prowadzącą do nieśmiertelności. Wielki błąd popełnił rząd austriacki, a skutki tego błędu mogą się obrócić przeciw niemu. Wbrew swej polityce, wbrew przezorności, doświadczeniem długoletniem nabytej, miasto ukarania skazanych, uwięził ich palmą męczeńską, której nakoniec sam tak dalece się uląkł, iż hrabia Stadyon nie śmiał wykonać trzeciego wyroku! Wiśniowskiego: Niech żyje Polska! Kapuścińskiego: Niech was śmierć nasza nie odstrasza! — te ostatnie ich słowa, wyrzeczone pod dła-

wiącą ręką kata, unoszą się teraz nad obszarem całej Polski a ożywiając ją pełną nadzieją na przyszłość, stały się nową ewangelią Polaków!..“

Ze głos powyższy „Gazety Niemieckiej“ nie był pospolitym fajerwerkiem dziennikarskim, dowodziło najlepiej zachowanie się nowomianowanego gubernatora galicyjskiego, Franciszka hr. Stadyona, który zjechawszy do Lwowa, nazajutrz po egzekucyi — dzień poprzedni spędził w Obruszynie — uznał za odpowiednie wystosować do władzy naczelnej energiczną notę z wyrzutem, że w tak ważnej sprawie politycznej postąpiono bez jego wiedzy. Tak nas przynajmniej zapewnia J. A. Helfert w tomie trzecim swych „Dziejów Austrii...“ Szlachetne to oburzenie nie przeszkodziło — wszakże hrabiemu w wydawaniu jak najsurowszych zarządzeń, mających na celu stłumienie wszelakich demonstracyj, jakimi ludność Lwowa pragnęła uczcić pamięć straconych.

W dniu dziewiątym sierpnia t. r. tłumy ludności zaległy obszerny kościół Bernardyński, zkład po nabożeństwie udały się gromadnie na górę tracenias. Pod wieczór całe wzgórze oraz okoliczne pagórki wypełniły się rozmodlonym ludem, który znosił kwiaty, świece i pochodnie na miejsce kaźni, Usiłowania policyi celem rozpedzenia tłumu, okazały się bezskuteczne i wówczas wystąpiło wojsko. Piechota bagnetami a huzary płazowaniem i najeżdżaniem na lud, rozproszyli zebranych, podczas gdy policya aresztowała bardziej opornych. Uwięziono przeszło dwadzieścia osób i przez całą następną dobę wojsko trzymało górę tracenias pod swoją strażą. Te same rozruchy ponowiły się w dniu szesnastym sierpnia t. r. i znów musiała policya użyć siły zbrojnej celem rozproszenia zgromadzonych, a wśród aresztowanych, znalazła się zna-

czna stosunkowo ilość kobiet, które po urzędowem upomnieniu wypuszczono na wolność.

Gdy Lwów, jak mógł, czczył pamięć swych męczenników, wieść hiobowa o dokonanej w dniu trzydziestym pierwszym lipca egzekucyi, rozeszła się, jak już wspomniano, z nadzwyczajną chyżością po całym świecie, powtarzana z ust do ust wszędzie, gdzie choćby najszczuplejsze grono ziomeków się znalazło. Przeniknęła ona nawet pilnie strzeżone mury więzień stanu i już w dniu piątym sierpnia więźniowie polscy, przebywający w berneńskiej Grajgorze, dowiedzieli się o straceniu Wiśniowskiego oraz Kapuścińskiego. „W dniu 5 sierpnia 1847 r. w nocy, może około godziny dziesiątej“ — pisze w swych wspomnieniach Henryk Bogdański — „usłyszeliśmy pod naszą kaźnią jakieś niezwykle chodzenie, brzęki i trzaski zamków. Siedziało nas trzech: Ja, Hordyński i Dunajewski. Kogoś przywieźli i osadzili wprost pod nami; trzeba się było z nim rozmówić. Dunajewski nie długo się namyślał, wlaź pod łóżko od ściany zewnętrznej i pukaniem w róg podłogi pytał o nazwiska. To pytanie, kilka razy powtarzane, długo się przeciągnęło, aż narreszcie otrzymaliśmy odpowiedź, że przybyli nazywają się: Jan Andrusikiewicz, organista z Chochołowa, Władysław Domaradzki, akademik lwowski i jeszcze dwaj, których nazwiska zapomniałem. Odpukiwał Andrusikiewicz i okropną udzielił nam nowinę, że w wilię wywiezienia ich ze Lwowa, to jest w dniu 31 lipca 1847 r., powieszono Teofila Wiśniowskiego. Ta wiadomość dostateczną już była dla Dunajewskiego, aby go niezdolnym uczynić do dalszego słuchania. Dał znak zakończenia i nie chciał już pukać dalej. Teofil Wiśniowski był jednym z najbliższych naszych przyjaciół, jednym z najeżynniejszych członków naszego związku, i najpocziwszym człowiekiem. Śmierć



jego dotknęła nas, jakby najbliższego krewnego nas wszystkich, do tego śmierć tak okropna, oznajmiona mu naprzód, przygotowywana na szubienicy. Straszna ta myśl chwili nam nie dawała spokoju, mąciła wszystkie rozmowy i prześladowała nas w każdej czynności!...”

I zaprawdę, bez uniesień czułościowych, nietrudno nie pojąć, że takie a nie inne wrażenie wywołać musiała wiadomość o zgonie Teofila wśród dawnych jego towarzyszków pracy, oderwanych w kwiecie wieku od rodzimego społeczeństwa, skazanych na bezczynność i bezsilnych.

Wśród polskiego wychodźstwa, osiadłego w Paryżu, wieść o egzekucyi, spełnionej we Lwowie, rozeszła się dopiero w połowie sierpnia t. r. *Demokrata Polski* w numerze, wydanym w dniu dwudziestym sierpnia, poświęcił gorące wspomnienie Wiśniowskiemu, kończąc je następnemi słowy: „...Cześć mu i błogosławieństwo Polski. Cześć mu i jego współpracownikom! Imię Wiśniowskiego niech odtąd jaśnieje obok Konarskiego imienia i służy nam za nieśmiertelny wzór wytrwałości w poświęceniu. Nie pierwszy to z grona naszego męczennik; niejeden już, dopełniając obowiązków swoich — otrzymał koronę męczeństwa. Ale dziś jeszcze o Wiśniowskim publicznie mówić nam wolno. Oddajmyż mu cześć publiczną. Niech wszystkie sekcye, stosownie do okoliczności, jakie miejscowość pozwoli, dopełnią tego obowiązku. Przypomnijcie obywatele sobie i jeżeli można cudzoziemcom, jakimi to nadludzkimi ofiarami Polska byt swój okupuje!...”

Odezwa rzeczona, datowana w Wersalu, w dniu 16 sierpnia, podpisana przez Wincentego Mazurkiewicza i Heltmana, znalazła najserdeczniejszy oddźwięk wśród ogółu emigracyjnego, bez różnicy stronnictw i przekonań. W dniu dwudziestym szóstym sierpnia

odbyło się w kościele Saint Germain des Pres nabożeństwo żałobne, urządzone przez sekcję Towarzystwa demokratycznego. Odprawił je członek Towarzystwa, ksiądz Dąbrowski, w asystencyi kapłanów francuskich, lecz władza duchowna zabroniła celebrantowi wygłoszenia mowy żałobnej, zapewne z obawy przed demonstracyami, niemiłymi dla rządu.

Za przykładem Paryża poszły też sekcje Towarzystwa demokratycznego, istniejącego w Agen, w Lille, w Bordeaux, w Nantes, w Awinionie, w Hawrze i w Lyonie. We wszystkich tych miejscowościach odbyły się nabożeństwa żałobne, oraz uroczyste obchody, podczas których przypominano rodakom zasługi straconych, a także prasa prowincjonalna wyrażała się z jak największem uznaniem o męczennikach sprawy wolnościowej. W Metz obchód żałobny przybrał rozmiary nader okazałe, dzięki sympatyj, okazanej Polakom przez tamtejszych wolnomularzy, którzy odstąpili na ten cel apartamenty swej loży. Wolni mularze — pisano o tej uroczystości do Demokracji Polskiego — przeszli nasze oczekiwania a obecni słuchacze, ulegając wpływowi tych słów poważnych i wzniosłych, dzielili uniesienia mowców. Wszyscy drżeli ze zgrozy, kiedy wymownie malowano obraz cierpień ludu polskiego, a uczucie zemsty wrzało we wszystkich sercach i dobitnie na twarzach się wyrażało. Od czasu przybycia do Metz pierwszej kolumny naszej w roku 1832 nigdy jeszcze równie silnej, równie jednomyślnej manifestacyi dla sprawy polskiej nie widziano w tem mieście. Toż samo obchód w Strassburgu, święcony w dniu drugim września t. r., przeobraził się w wspaniałą manifestację na rzecz Polski, a znaczna liczba patryotów francuskich uczestniczyła też w żałobnej uroczystości, urządzonej w Rouen,

którą zagaił były członek Centralizacji, Janowski, stosowną przemową, wygłoszoną w języku francuskim. „Niech więc pamięć tych męczenników będzie błogosławiona między nami, jak jest błogosławiona między braćmi na ziemi ujarzmienia“ — kończył swe przemówienie Janowski — „i niech śmierć ich służy nam za wzór w dopełnieniu obowiązków wobec ojczyzny, które, aby były rzetelną zasługą, nie mogą się kończyć aż z życiem!“ Przemawiał następnie jeden z zwolenników arystokratycznej partii „Trzeciego maja“, nakłaniając wychodźców do jedności i zgody, a pod wpływem wzruszenia, wywołanego podniosłym przebiegiem uroczystości, zawołał obecny na obchodzie, dawny przyjaciel Polaków, mistrz Dawid d'Angers: *A la vie et à la mort à la noble cause Polonaise!* Żałobne obchody odbyły się również w Poitiers, w Caen i w Chartres, gdzie wszakże biskup miejscowy zabronił odprawienia żałobnej mszy spiewanej, więc tylko na cichych modłach musiano poprzestać.

I bawiąca w Londynie gromadka wygnańców polskich nie zapomniała o uczczeniu pamięci straconych, choć z powodu zakazu rządowego, obchód ten, święcony w kaplicy świętego Patryka przy Soho-square, miał charakter ściśle wewnętrzny. Po nabożeństwie, odprawionem przez kapłana irlandzkiego pochodzenia, zebrano się w sali Bedford Arms, gdzie kolejno przemawiało kilku mówców, zaznaczając, że tyrani mogą pastwić się i mordować wyznawców demokracji, lecz zasady jej zniszczyć nie są w stanie, bo ona leży w przeznaczeniu Opatrzności!

W związku z obchodami, poświęconymi pamięci Wiśniowskiego i Kapuścińskiego, i zostawała też publikacya listu ś. p. Teofila, ogłoszona w numerze czterdziestym *Demokraty Polskiego* z dnia 13 listopada



t r. Odezwa ta, nadesłana według twierdzenia redakcyi ze Lwowa, opiewała, jak następuje:

„Ludu Polski! Ludu niewinny! przez wrogów Twojej Ojczyzny haniebnie oszukany — za ich namową do krwawej zemsty przeciw braciom Twoim pobudzony.“

„Ludu Polski! Słuchaj głosu męczennika twego, który cię szczerem umiłował sercem, który dla ciebie wysilił wszystkie chęci i wszystkie czyny duszy swojej i który za chwilę pójdzie na śmierć za Ciebie.“

„Ludu mój! Ty z szczerem żalem i ze łzą w oku patrzysz na mnie a ja z większem politowaniem poglądam na ciebie, albowiem od tej chwili zbawion jestem od męczarni, któremi wróg twój mię dręczył, ale ty dźwigasz jarzmo niewoli, które dotąd dźwigałeś!“

„Była nas mała garstka Tobie poświęconych, kilku apostołów wiary Twojej. Wiedzieliśmy dobrze, co nas czeka, gdy Tobie przewodniczyć będziemy a jednak z natchnieniem Bożem przystąpiliśmy do ciebie przed rokiem dla zbawienia Twego i przemówiliśmy głosem z pod serca w obliczu Stwórcy i tobie, wzywając cię do walki z wspólnym wrogiem naszym. Tyś nas zrozumiał, ale nie wysłuchał, bo przedtem wmówili w Ciebie ciemńcy nasi, że zguby Twojej pragniemy. Opuściłeś nas wtedy rzucając się na nas z siekierą i kosą, wydając nas wręcz tyranom Twoim.“

„Pójdziemy śmiało, jako wyznawcy nauki Chrystusowej na miejsce tracenia, by paść ofiarą za ojczyznę naszą. Wam bracia nasi, rodacy, przebaczamy winę, popełnioną bez własnej woli, przebaczamy wam błędy wasze, rzezie okropne i ten chwilowy napad łakomstwa i tę zdradę, której dopuściliście się, wydając za lichą zapłatę braci naszych bezlitośnym urzędnikom. Przebaczamy Wam wszystkie złe chęci, złe

czyny wasze i przy wnijsciu do lepszego świata prosić będziemy Boga, żeby i On wam przebaczył jako ojciec miłosierny dzieciom swym. Przebaczamy wrogom naszym, wiodącym nas na śmierć, powtarzając słowa Zbawiciela: Oni nie wiedzą co czynią... Czy Bóg im przebaczy? — tego nie wiemy. Skryte są sądy Boga Sprawiedliwego.“

„Ludu Polski! Ty byłeś niewinny, jak dziecko igrające na łonie matki. Nie miałeś jednej złej woli w sercu Twem, jednej złej myśli w duszy, ale wrogi nasi wpeili w pierś Twą tysiące kłamstw i utudzeń, jad nienawiści i zemsty. Powalali cię brudem szpiegostwa, zatruli Ci terazniejszość Twą i przyszłość, co jak zorza poranna przyświecała ci nadzieją lepszych czasów. Jeszcze jedno słowo. Słuchajcie z uwagą bracia moi. Zaklinam Was na miłość Boga, kochajcie się między sobą, jak dzieci jednej matki Ojczyzny i łączcie się w zgodnem braterstwie, jak się łączą konary dębu a będziecie silni jak mąż nieulekniony, jak męczennik polski i stworzycie sobie czynami tę wolność i to szczęście, za którem tęsknicie od wieków. Mieścież więc litość nad sobą samymi!“

„Miałbym wam wiele jeszcze do powiedzenia, ale jestem mocno strzeżony i wiem dobrze, że znajdzie się więcej takich, co wam to wszystko jaśniej wygłoszą. Za trzy dni przyjdą po mnie, by mnie zaprowadzić pod słup tracenia, na którym ciało moje martwe zawiśnie na pośmiewisko wrogów, ale duch mój wzniesie się do Boga. Radując się Wami i czuwając nad Wami, pójdę mężnie i radośnie na śmierć. Ażaliż ten, co ginie za sprawę ludzkości, płakać będzie jak zbrodniarz?“

Zegnam Was jeszcze raz, żegnam Was rodacy i zaklinam na miłość własnego kraju, na miłość braci, na miłość Boga, nie zapominajcie o Ojczyźnie!\*

List ten, którego autentyczności dziś już sprawdzić niepodobna, rozszedł się w tysiącnych odpisach po całym kraju, przechowywany z jak największym pietyzmem, gdyby relikwia cenna w skarbnicy domowych pamiątek.

Rok czterdziesty ósmy, dając Galicyi swobody konstytucyjne, przypomniał też Lwowianom obowiązek wdzięczności; zaciągnięty wobec męczenników sprawy narodowej. Staraniem Rady Narodowej lwowskiej zamierzano już w dniu dwudziestym kwietnia t. r. urządzić uroczysty obchód żałobny na górze tracenia, na który zaproszono ogół mieszkańców. Ale gubernator hr. Stadyon, podrażniony oporem, jaki mu stawiała Rada w sprawie zwołania Sejmu stanowego, postanowił siłą mocą przeszkodzić uroczystości. W nocy z dwudziestego piątego na szósty kwietnia policya opieczętowała salę obrad Rady Narodowej, zaś wczesnym rankiem oddział wojska wtargnął na górę tracenia i rozrzucawszy do połowy już wzniesiony ołtarz wśród okrzyku: *Weg mit dem Plunder!* otoczył miejsce kaźni zbrojnym kordonem. Ogromne wzburzenie zapanowało z tego powodu w mieście, zwłaszcza wśród młodzieży akademickiej, oraz rzemieślników, którzy w pierwszej chwili chcieli uderzyć na wojsko i dopiero pod wpływem perswazyi, komendanta gwardyi narodowej, Wybranowskiego, dali się odwieść od tego zamiaru.

Z tem większą solennością obchodził Lwów w dniu trzydziestym pierwszym lipca t. r. pierwszą rocznicę stracenia Wiśniowskiego i Kapuścińskiego. I tym razem Rada Narodowa powzięła inicjatywę w urządzeniu tego obchodu i w tym celu ogłosiła odezwę następującej treści:



*„Wolność, Równość, Braterstwo! .*

*Program*

*obchodu rocznicy Męczeństwa w sprawie narodowej  
Teofila Wiśniowskiego .*

*i*

*Józefa Kapuścińskiego.*

Dnia 31 lipca r. b. głos dzwonów zapowie obchód religijny we wszystkich kościołach.

O godzinie 9 rozpocznie się nabożeństwo żałobne. Przy wchodzie do kościołów, ustawiony będzie stolik dla składek na pomnik, mający się wystawić w swoim czasie z corocznych takowych składek w dzień rocznicy zbieranych. Przy stoliku zajmą miejsce damy dla zbierania pieniędzy, obok stolika straż gwardyi narodowej.

Trzy kompanie gwardyi narodowej pieszej i oddział jazdy stać będą cały ciąg dnia na mogile męczeństwa, w zmianach, przez sztab gwardyi wyznaczonych, dla przestrzegania porządku i przyzwoitości.

Rada narodowa centralna uznaje, że wyrazem najwymowniejszym pamiątek narodowych jest obchodzenie tychże w zebraniu ducha i rozmyślaniu o ich wielkości bardziej, aniżeli w oznakach jawnych lub tłumnych. Wzywa przeto wszystkich, aby w myśl tę zachowali się i pamięci męczenników tem szczególnie ten hołd złożyli, że ich dążnością byłoby utrzymanie pokoju i porządku, gdyby dotąd pośród nas pozostawali.

Z Rady narodowej centralnej.

We Lwowie dnia 29 lipca 1848.

*Piotr Wasilewski*  
prezylujący.

*Franciszek Michalski*  
sekretarz-zastępcz.

Końcowy ustęp rzeczonyj odezwy, prawiący o utrzymaniu pokoju i porządku, tudzież o konieczności obchodzenia rocznicy w zebraniu ducha i rozmyślaniu — wymaga pewnych komentarzy. Oto zamysłano pierwotnie nadać obchodowi jak najszersze rozmiary i dlatego prócz nabożeństw po kościołach, miano odprawić publiczne modły na górze tracenia, gdzie też następnie stosowne przemówienie zamknęłoby żałobną uroczystość. Ale myśli tej sprzeciwili się jak-najenergiczniej zarówno szef władzy cywilnej, hr. Gołuchowski, jakoteż dowodzący naczelnie generał, hr. Hamerstein. Ten ostatni posunął się nawet do groźby, iż w dniu rocznicy otoczy górę tracenia wojskiem i armatami. Wobec tego sytuacja stawała się nader poważną, skutkiem rozjątrzenia ludności przeciwko władzy i tylko zabiegom Wybranowskiego, komendanta gwardyi, który podjął się trudnej roli pośrednika między rządzącymi a Radą Narodową, zawdzięczyć należy pokojowe załatwienie wielce drażliwego konfliktu. Za wpływem Wybranowskiego poczyniono też pewne zmiany w pierwsiastkowym programie obchodu, który rozpoczęło podniosłe przemówienie znakomitego autora i publicysty, Józefa Dzierzkowskiego, wygłoszone na publicznem posiedzeniu Rady Narodowej, urządzonem w przededniu rocznicy.

„Ziomkowie! Bracia!“ — przemawiał Dzierzkowski w przepelnionej po brzegi sali starego teatru, słuchającej Radzie Narodowej za miejsce obrad. — „Dzisiaj w przeddzień wielkiej dla nas rocznicy godzi się uczcić słowami żalu i rozpamiętywania śmierć naszych męczenników, zamordowanych przed rokiem. Któż z Was po tych słowach nie pozna, że chcę mówić o Teofilu Wiśniowskim i o Józefie Kapuścińskim? Wszakże nazwiska ich zapisane są w sercu każdego z nas, który miał szczęście być świadkiem tego try-

umfałnego pochodu, z jakim wbrew szatańskiej woli niecnym upadłego despotyzmu posługaczy szli oni nie do hańby, ale do sławy, nie do szubienicy złoczyńców, ale do krzyża męczeńskiego!"

„I jak niegdyś z Golgoty, od krzyża Zbawiciela zawieszonego przez łotrów między łotrami, wyszła w świat stary, nowa wiara, nowy dając zakres dziejom i oświacie, tak z tej góry, której dawny kał śmierci prawych ojczyzny synów zmyła na wieki, wionął, zda się, nowy duch myślą w głowy, zapaleł w serca i rozbiegł się po mieście, po kraju i dalej pomknął w świat cały. I zbudziła się groza w najodleglejszych ludach. Mordy czterdziestego szóstego roku, złotnikami despotyzmu płacone, uwieńczone szubienicą z roku 1847, zadały ostatni cios ludowej cierpliwości i dawnym tronowym tyranom. I powstały ludy; żelazne okowy padły pogruchotane, jak krucha trzcina. Z tej góry wionął na nas duch politycznego zbawienia, którego zorzę dziś witamy.“

„Święte ofiary nasze! Cześć Wam niesiemy modlitwą, pamięcią i łzami, lecz martwe i nieme jest słowo bez czynu! a więc czynem dowiedzmy najlepiej tej cześci, winnej ich życiu, ich śmierci... Czyż nie zrozumieliście z ich głosu i wyrazu całe godło ich życia i wiary. Wszystko dla ojczyzny, męki dla siebie, szczęście dla niej! Miejmyż i my silną wiarę, niezłomną stałość i tę cierpliwość, godną wielkiego narodu, który ma wielką przeszłość i wielką przyszłość, więc ręka w rękę, bez przechwałek, bez namiętnych gwałtów i konwulsyjnych ruchów, postępujemy z powagą i postanowieniem naprzód. Rzućmy precz od siebie wszelkie zdania nas różniące, stronnictwa zawzięte, różnice wyznań, pochodzenia, urodzenia i majątków, te karłowate zapory, któremi nas wrogowie nasze poróżnić i rozedrzeć usiłują. Miejmy w pamięci, że ta re-



akeya, którą nie bez przyczyny się straszymy, tam tylko jest niebezpieczna, gdzie jest niezgoda i omdlałość. Bo reakcyja nie własną może powstać siłą, ale naszą jeno słabością!"

"Nie usypiajmy na chwilę, nie traćmy zapалу do sprawy publicznej, nie usuwajmy się od działań wspólnych, bo w takich chwilach, jak dzisiejsza, nie tylko jest występkiem źle działać, ale większym niemal nadto występkiem jest nie działać! Bo cel naszych chęci i dążeń jest wielki, bo tym celem jest nasza Polska, oczyszczona z pleśni wiekowych błędów i przesądów. Polska na tak szerokiej wskrzeszona podstawie, że się na niej wolno zdołają rozkrzewić wszelkie swobody wszystkich plemion, składających jej całość. Bo ta Polska, łzami i krwią oczyszczona, to nie tylko jest wielka ziemia, ale jest nadto i wielka idea wolności, równości i braterstwa w całej, szerokiej Słowiańszczyźnie. Jakoż najgodniej uczymy tę pierwszą rocznicę śmierci męczenników naszych, gdy się zwiążemy wszyscy w jeden, silny uścisk braterski i sercem a głową, myślą a czynem wyrzekniemy wszyscy jako jeden człowiek to święte hasło:

"Wszystko dla ojczyzny, choćby męki dla nas, byle szczęście dla niej!..."

Nazajutrz, (w dniu 31 lipca), odbyły się we wszystkich kościołach lwowskich żałobne nabożeństwa. Główne egzekwie odprawiono w kościele OO. Dominikanów; u drzwi wchodowych przy stoliku zajęły miejsce uproszone panie, zbierające datki na budowę pomnika dla straconych, na który to cel przeznaczył też Dzierżkowski dochód z sprzedaży swej mowy, która w osobnej odbitce opuściła w owym dniu prasy drukarskie. Noszono się również z myślą wmurowania tablicy pamiątkowej w ścianie kościoła Dominikańskiego. Kazanie wygłosił u Dominikanów słynny mowca tego za-

konu, ksiądz Roman Zubrzycki, który wzięwszy za ośnowę słowa eklezjasty: Ciała ich pogrzebione, lecz sława żyje w pokoleniach, w pełnej namaszczenia i porywającego zapału mowie skreślił żywot, oraz zgon obu męczenników. Natchnionemi słowy wzywał złotousty kaznodzieja do zgody Polaków i Rusinów, za których wspólną sprawę dali życie obaj straceni. — „Bracia niewoli!“ — wołał Zubrzycki — „czyliż wolnymi braćmi być nie potrafimy?“ i zakończył kazanie modlitwą do Pana Zastępów, by krwią i poświęceniem tylu ofiar obmył winy nieszczęsnego narodu...

Zaraz po nabożeństwie pospieszyły tłumy tysięczne na górę tracenia, przy której straż bezpieczeństwa pełniły konne i piesze oddziały gwardyi, zmieniające się co dwie godziny. Wśród głębokiej ciszy i gorących modłów zasypywano miejsce narodowej żałoby stosami kwiatów i wieńców. Wszystkie sklepy i pracownie rzemieślnicze były przez dzień cały zamknięte, a silne patrole gwardyi przeciągały nieustannie przez miasto, które już o godzinie dziewiątej wieczorem pogrążyło się w ciszy grobowej. Żołnierzom zabroniono pokazywać się na ulicach; cały garnizon skonsygnowano w koszarach, w których jeszcze przed wieczorem rozeszła się wieść o zagadkowym wypadku, jaki w dniu tym nastąpił. Oto podpułkownik Gizzi, który przed rokiem eskortował skazańców na miejsce tracenia i szydząc z polskiej narodowości, zwykł się być głośno chlubić z tego bohaterskiego czynu, skończył w sam dzień rocznicy samobójstwem. Głuche wieści, jakie z kół wojskowych przedostały się do miasta, głosiły, że Gizzi na kilka godzin przed zastrzeleniem się, usiłował podburzyć swych podkomendnych przeciw ludności, pielgrzymującej na górę

tracenia. Pospólstwo szemrało, że samobójcę dotknął palec Boży...

Mimo wszakże wszelkich starań i zabiegów ze strony Rady, oraz gwardyi narodowej, nie obyła się i ta żałobna uroczystość bez przykrego rozdźwięku, którego sprawcą był zarządca domu ubogich św. Łazarza, niejaki Audykowski. W chwili bowiem, gdy kapelan zakładu, ksiądz Tomasz Künzel, więzień stanu z roku 1846, zamierzał odprawić w przyległym do domu ubogich kościele nabożeństwo żałobne, oświadczył mu Audykowski, że jeżeli za takich ludzi chce się modlić, to niech sobie w kościele postawi szubienicę, nie katafalk. I nie poprzestając na groźbie, zamknął zarządca potrzebne aparaty kościelne i nie dopuścił w ten sposób do odprawy nabożeństwa. Audykowskiego nie minęła zasłużona kara. Skoro bowiem w dniu trzynastym sierpnia t. r. przybył do Truskawca, powitano go wybiciem szyb w zajmowanym przez niego mieszkaniu, oraz kocią muzyką. Wieśniacy, przerażeni tą niezwykłą owacją, uderzyli na gwałt w cerkiewne dzwony. Lud począł się tłumnie gromadzić i kto wie, czyby nie przyszło do poważniejszego rozruchu, gdyby nie interwencya miejscowego parocha. Audykowski z wstydem musiał co rychlej opuścić zdrojowisko...

I na prowincyi, starostowie, zasłaniając się rozporządzeniem gubernialnem, starali się, o ile możliwości przeszkodzić publicznemu uczczeniu pamięci straconych. W Sanoku, z nakazu starosty, musiano przerwać nabożeństwo żałobne, odbywające się w kościele, przepełnionym po brzegi ludnością miejscową i okoliczną. Dopiero po długich targach i układach między tamtejszą Radą Narodową a władzą cyrkularną, zezwoliła ta ostatnia na dokończenie nabożeństwa. Z powodu tego zatargu z władzą rządową kilku pomniej-



szych biuralistów sanockich opuściło szeregi gwardyi narodowej, tłómacząc swe wystąpienie twierdzeniem, iż nie mogą być członkami gwardyi, która święci pamiętkę zdrajcy kraju i mordercy. W Brodach znów duchowieństwo uległo wpływom rządowym. Proboszcz tamtejszy, zamknąwszy ornaty, oraz inne żałobne przybory, wyjechał z miasta i powrócił dopiero dnia następnego. Musieli więc mieszkańcy Brodów poprzestać na zwykłym nabożeństwie, w którem wzięła udział także ludność starozakonna. Po mszy odśpiewano w kościele pieśń legionów.

Słowem, dzień trzydziesty pierwszy lipca 1848 roku święcony był, o ile na to okoliczności pozwalały, w całym kraju. Świadczą o tem liczne publikacye okolicznościowe, poświęcone pamięci Wiśniowskiego.

Prócz wspomnianej już poprzednio mowy Dzierżkowskiego, sprzedawanej po trzy krajcary m. k. na rzecz powstać mającego funduszu pomnikowego, ukazał się już z końcem marca t. r., poemacik ulotny M(arcelego) (Dłużniewskiego), p. t. Plac tracenia Teofila W... i Józefa K., w którym czytano ustęp następujący:

...Ludu, szanuj wspomnienie  
Tych, co legli za Ciebie,  
Twój Wiśniowski jest w niebie  
Ztamtąd zsyla promienie.  
Żyjąc, kochał kraj, braci,  
Legł, bo lud swój miłował,  
Że mu wiary dochował  
Tutaj żywot swój traci...

W tydzień później, w pierwszych dniach kwietnia, pojawił się utwór rymowany Boznańskiego, noszący tytuł: Góra świętego Teofila nad Lwówem a rozpoczynający się temi słowy:

W pobliżu Lwowa, od Zachodu strony,  
 Jest niezbyt wzniosły kurhanek,  
 Gdzie lud pobożny wspomnieniem wiedziony  
 Idzie z modlitwą co rano.  
 Klęka z pokorą, czołem się dotyka  
 Ziemi, łzą ludu zwilżonej,  
 Gdzie jest grobowiec Polski męczennika,  
 Co był za wolność stracony!  
 Za miłość kraju i za byt ojczyzny,  
 Za zmartwychwstania jej chęci,  
 Gdzie zginął z ziemi, znosząc srogie blizny,  
 Ale nie zginął z pamięci...  
 Ten to kurhanek, z którego w mrok codzien,  
 Słońce się z żalem pochyła,  
 Choć na nim zginął niejeden już zbrodzień,  
 Zwie się górą Teofila!

Na cześć Teofila Wiśniowskiego, oraz wszystkich  
 uczestników rewolucyi lutowej skreślił też M. W. Gło-  
 skowski ulotne strofy p. t. Głos do polskiego  
 ludu, w których tak wyraża się o ś. p. Teofilu:

...On w Chrystusie przykład mając,  
 Całe życie na tem strawił,  
 By słów prawdy nauczając  
 I oświecił i poprawił  
 I odkupił i wybawił  
 Z wroga szponów biedny lud!

Obszerniejszy poemacik, wydany ozdobnie na  
 różowym papierze, ogłosił również anonim J. A. S.  
 pod tytułem: Dwie godziny przed śmiercią  
 Teofila Wiśniowskiego. Rzecz wyjęta z Taj-  
 nych aktów. W dziełku tem przedstawia bezimienny  
 poeta spowiedź ś. p. Wiśniowskiego, odbytą wobec  
 kapłana, udzielającego mu rozgrzeszenia w tych sło-  
 wach.

A ksiądz mu olej lejąc na głowę,  
 Przypominając pieśń Dawidową,  
 Rzekł: oto wouny olejek boży  
 Kładę na tego, co się ukorzy,  
 Aby od słońca stał się jaśniejszy,  
 Niż dyamentu ogień przedniejszy  
 I nad topazy i ametysty  
 I alabastry — jasny i czysty,  
 Albowiem w dłonie jego powierzę  
 Jerozolimę i niech jej strzeże,  
 Jako źrenicy swojego oka,  
 Tam z majestatu swego z wysoka!  
 A żeś nie bluźnił, ani narzekał  
 I rozgrzeszenia mojego czekał —  
 Więc ci przebaczam — i z twego czoła,  
 Ścieram człowieka, a blask anioła,  
 Nad twoją głową roztaczam kołem  
 I będziesz odtąd Polski Aniołem!

Obok tych wierszowanych utworów, dyktowanych dobrą chęcią, nie zawsze idącą w parze z poetyckiem natchnieniem, wspomnieć też wypada nie o ogłoszonej w owym czasie bez wymienienia miejsca wydania, publikacji p. t. *Słowa prawdy dla ludu Polski*. W książce tej, przeznaczonej dla ludu a wydanej równocześnie w dwu edycjach, (w formacie ósemki i szesnastki), znajduje się obszerniejsza wzmianka o Wiśniowskim, zaopatrzona w ilustrację, przedstawiającą go rozkrzyżowanego na ścianie za pomocą łańcuchów. Wedle „*Słów prawdy*“ miano w ten sposób znęcać się nad więźniem, chcąc go zniewolić do złożenia zeznań... Jest to wymysł nieprawdziwy, gdyż wobec stwierdzonego faktami udziału Wiśniowskiego w wyprawie narajowskiej, władza śledcza w roku 1846 nie miała żadnego powodu do używania środków przymusowych wobec obwinionego. Opowieść przeto o katuszach, zadawanych więźniowi, mogła przemawiać żywiej do wyo-



braźni ludowej, nie mniej przeto prawdziwą nie była.

Prócz polskich publikacyj pamiątkowych, poświęconych Wiśniowskiemu w roku 1848, na wzmiankę zasłużyły tejsze treści wydawnictwa, skreślone w języku ruskim. Pierwszem z nich była Piśń o Wyszniowskim pióra „Podolaka z za kordonu“, drugą przekład przytoczonej już poprzednio odezwy Wiśniowskiego do ludu, ogłoszonej przed rokiem w *Demokracji polskim*. Tłomacz J. K. Cybulski zaopatrzył swą publikacyę, (Ostatni słowa Teofyla Wyszniowskiego do Myru Hałyckiego. Pysani dnia 28 Łypcia 1847 hoda popubłykowany m dekreti), w krótką wzmiankę biograficzną, która podobnie jak i ogłaszane w latach następnych artykuły o Wiśniowskim, nie wolną była od niedokładności.

Chcąc dać wyczerpujący przegląd wydawnictw, poświęconych w owym czasie pamięci straceńców, niepodobna wreszcie pominąć milczeniem kompozycyij muzycznych, pozostających w związku z opisywanym dopiero co obchodem. Były niemi dwa marsze pogrzebowe, układu cenionego w owym czasie kompozytora Ruckgabera, tudzież pani Krystyny Grottgerowej, matki Artura. Z owych też czasów pochodzi najbardziej udatna podobizna Wiśniowskiego, przedstawiająca go w chwili czytania wyroku. Była ona dziełem artysty malarza Stanisława Bartusa.

Z chwilą, gdy w listopadzie czterdziestego ósmego roku powiał nad Galicyą prąd reakcyjny, ustać też musiały wszelkie publiczne manifestacye, przypominające polskiemu ogółowi zasługi jego męczenników. Pamiątki nieliczne zresztą po Wiśniowskim, zachowywała z prawdziwym pietyzmem nieutulona w żalu wdowa. W dworze majdańskim w oszklonej gablocie, przechowywała Kornelia Wiśniowska popiersie męża,

wykonane z wosku, jego podobizny litografowane, listy, tekst wyroku śmierci, obrączkę ślubną, krzyżyk, który mu towarzyszył na miejsce kaźni, wreszcie ogniw kajdan. Dom jej był zdawien dawna przystanią dla potrzebujących pomocy rozbitek sprawy narodowej, a wspomnienia, z tymi murami związane, krążyły po całej okolicy, przybierając z czasem barwę legendowych wierzeń. I zdawaćby się mogło, że i tym razem sprawdzą się ponure wieszczczenia Adama:

Zwyciężonemu za pomnik grobowy  
Zostaną suche drewna szubienicy,  
Za całą sławę krótki płacz kobiecy  
I długie... nocne rodaków rozmowy.

Aliści zaledwo ocknął się Lwów z długoletniego letargu, jaki nastąpił po wolnościowej dobie czterdziestego ósmego roku, gdy jedną z pierwszych demonstracji jakie za przykładem Warszawy, odbywały się wówczas w murach Lwiego grodu, była pielgrzymka, zapowiedziana w dniu trzydziestym pierwszym lipca 1861 roku na górę tracenia. W oznaczonej wszakże porze, ludność, podążająca w tę stronę, zastała wzgórze otoczone oddziałem policyjnych żołnierzy, którzy uczestników zamierzonej uroczystości wyparli aż na gościniec Janowski, pod kościół św. Anny. Zastawszy drzwi tej świątyni zamknięte, ukląkł tłum pobożnych na placyku przed kościołem i zaintonował: „Boże coś Polskę!“ Policyjanci kolbami rozpędzali klęczących i porwali z sobą Zenona Lewickiego, ucznia szkoły technicznej, jako inicjatora demonstracji. Sąd wszakże uwolnił obwinionego od wszelkiej odpowiedzialności.

Z chwilą nastania swobód konstytucyjnych ustały też prześladowania uczestników, powtarzających się rok rocznie w dniu ostatnim lipca pielgrzymek na górę tracenia. Pobożna czyjaś ręka wniosła w dalszej czę-

ści wzgórza skromny krzyż drewniany, który wszakże nie oznaczał grobu Wiśniowskiego i Kapuścińskiego, lecz postawiony został w miejscu, w którem tracono na czas krótki przed rewindykacją przysłanych do Lwowa na inkwizycję watażków hajdamackich. Wykopane w tem miejscu podczas zakładania plantacji czaszki i resztki kości, stwierdziły dowodnie prawdziwość tego przypuszczenia, gdyż popioły naszych męczenników spoczywają w przedniej części wzgórza, od strony drogi kleparowskiej. Tam bowiem stały, według relacji współczesnych, szubieniczne słupy, u stóp których, straconych pogrzebano. Powieszonych widział dokładnie nie tylko lud, na gościńcu zgromadzony ale nawet więźniowie stanu, osadzeni w tak zwanych Małych Koszarach na żółkiewskim przedmieściu, których sędziowie śledczy umyślnie wyprowadzić kazali na dziedziniec, by przerazić opornych widokiem dokonanej egzekucyi...

W dniu szesnastym maja 1869 roku zmarła Kornelia Wiśniowska w swej wiejskiej siedzibie i wówczas to powstała ponownie myśl uczczenia zasługi jej małżonka pomnikiem. W dniach trzydziestym i trzydziestym pierwszym lipca t. r. urządziło lwowskie Towarzystwo Demokratyczne gromadną wycieczkę do Majdanu Górnego, gdzie po założeniu kamienia węgielnego pod pamiątkową kapliczkę, poczęto sypać na płaszczyźnie za wsią kopiec ku czci Teofila. W wycieczce tej brało udział blisko trzysta osób, podejmowanych gościnnie w starym, nieistniejącym już dziś dworze, lecz rozpoczęte przez nich dzieło nie doczekało się dalszego postępu robót, tembardziej, że Majdan przeszedł w owym czasie w ręce dalszej rodziny zmarłej żony Teofila. Tak więc po raz wtóry sprawa pomnika Wiśniowskiego poszła w odwłokę i dopiero w ostatnich dniach lipca 1895 r. z prywatnych skła-



dek i dzięki takiejże ofiarności lwowskich mieszczan stanął na wzgórzu tracenia obelisk, poświęcony pamięci wielkiego patrioty. Na słupie, wyciosanym z krajowego piaskowca, ustawionym na podstawie, z głazów zbudowanej, widnieje napis następujący:

TEOFILOWI WIŚNIEWSKIEMU  
STRACONEMU NA TEM MIEJSCU  
dnia 31. lipca 1847 roku  
ZA WOLNOŚĆ OJCZYZNY  
MIESZCZAŃSTWO LWOWSKIE.

Szczyt pomnika wieńczy orzeł z rozpostartymi do lotu skrzydłami, zaś w koło rozciągają się świeżo założone plantacye imienia Wiśniowskiego.

Uroczystość poświęcenia pomnika odbyła się w dniu 31 lipca 1896 r. o godzinie pierwszej przed południem w obecności kilkuset osób. Ceremonii kościelnej dopełnił ks. kanonik dr. Zygmunt Lenkiewicz, poczem wiceprezydent miasta, Michał Michalski, oddał w stosownem przemówieniu pomnik w opiekę wieczystą lwowskiej młodzieży rzemieślniczej, zaś radny Ciuchciński odczytał akt uroczystego oddania pomnika Teofila Wiśniowskiego tejże młodzieży.

Dokument ten, spisany na pergaminie, opiewa jak następuje:

„W poczcie ludzi, którzy krew, mienie, cierpienia i życie niosąc w ofierze Ojczyźnie — snem wiecznym usnęli w mogiłach naszego grodu — jedno z najzaszczytniejszych miejsc w pamięci rodaków zajął niezapomniany śp. Teofil Wiśniowski. — Odzyskanie niepodległości Polski było jedynym celem jego życia, dla niej poświęcił wszystko, dla niej zginął najhambiebniej, stracony na szubienicy we Lwowie dnia



Pomnik Wiśniowskiego na górze tracenia we Lwowie.

31 lipca 1847 r., przez wrogów wolnego narodu. — Skromna mogiła, usypana na miejscu jego stracenia, stała się od owej chwili celem tłumnych odwiedzin, zwłaszcza w każdą rocznicę zgonu męczennika wolności, którego imię społeczeństwo polskie z młodzieżą uczącą się i rzemieślniczą na czele, szczególniejszą otacza czcią. — Wobec tego pięknego i trwałego objawu patryotyzmu, od dawna już poruszano w gronie mieszczaństwa lwowskiego myśl, aby pomnikiem uczcić pamięć szermierza o niepodległość narodu. Wykonaniu wszakże tej myśli różne niestety trudności stawały na przeszkodzie. Usunęło je dopiero nabywanie „Góry tracenia“ z mogiłą śp. Teofila Wiśniowskiego na własność prywatną przez mieszczanina Michała Michalskiego, II. wiceprezydenta miasta, który myśl postawienia na mogile pomnika z obywatelską gotowością doprowadził do skutku, własnych nie szczędząc kosztów i zabiegów. — Z ogólnej sumy kosztów, wynoszących przeszło 1000 zł., pokryto 366 zł. drobnymi datkami, z których najwyższy w kwocie 50 zł. złożyła korporacja szynkarzy. Po upływie więc blisko pół wieku stanął ów pomnik, mający wszem i po wsze czasy wymownie świadczyć, że w tem miejscu spoczywają prochy obywatela patryoty, który na ołtarzu Ojczyzny złożył najdroższy swój skarb tj. życie, zabrane w sposób haniebny przez potężnych słabej jednostce, groźnej atoli wielkiemu państwu samą miłością rozdartej Polski. W uznaniu zaś dotychczasowych, szczerých objawów patryotycznego ducha polskiego pieczołowitości dla obchodów narodowych i przeważnego ich udziału ze strony lwowskiej młodzieży rzemieślniczej, która wśród ciężkiej pracy nie zapomina o jedynym celu każdego Polaka — odzyskaniu niepodległości Ojczyzny, my uczestnicy dzisiejszej uroczystości, jej właśnie postanowiliśmy go oddać w opie-



kę. W przekonaniu zatem, że młodzież rzemieślnicza lwowska przyjmie z radością ten wyraz naszego zaufania i uznania, i że pamięć męczennika za wolność Polski będzie dla niej bodźcem a w danej chwili przykładem poświęcenia się dla Ojczyzny, w przekonaniu, że od chwili niniejszej otoczy swą troskliwą pieczę wzniesiony pomnik; w przekonaniu nadto, że z tym samym zapalem czcić będzie pamięć straconego, oddajemy jej uroczyste w dniu dzisiejszym na wieczne czasy ów pomnik, kryjący mogiłę ofiary miłości Ojczyzny i tuszymy, że póki duch narodu naszego żyć będzie, dopóty postanowienie nasze wykonaniem zostanie.“

Po podpisaniu rzeczzonego aktu przez obecnych, oraz odpowiedzi reprezentanta „Skały“, Jakóbczyńskiego, odśpiewany hymn „Boże coś Polskę!“ zakończył pamiątkową uroczystość.

Skromny głaz przypomina ziomkom nazwisko człowieka, który poświęciwszy całe swe życie dla Ojczyzny, dla niej też poniósł śmierć męczeńską z tym spokojem i z tą odwagą, jakie daje poczucie godnie spełnionego obowiązku patriotycznego. Skromnym i cichym był Wiśniowski przez całe życie, lubo zaufanie rodaków postawiło go na czele walczących o swobody narodowe szermierzy. Choć jednak zwłoki jego spoczęły w bezimiennej mogile, w miejscu, skalaniem krwią licznych zbrodniarzy, to jednak wielkość spełnionej przez niego ofiary zmyła hańbiące piętno z tego wzgórza, które dla przyszłych pokoleń pozostanie wzniosłą pamiątką tych czasów, gdy ojcowie nasi poświęcali ochotnie życie za wolność narodu!

## VI. D o d a t e k.

*Wyrok śmierci w c. k. sądzie karzącym Lwowskim, przeciw Teofilowi Wiśniewskiemu, także przybraną nazwę Karola Duval, Winnickiego, Dąbrowskiego, Zagórskiego i Benedykta Lewińskiego noszącemu, za popełnioną zbrodnię stanu, zapadły i na tymże w moc potwierdzenia wyższych sądowych instancyj, dnia 31 lipca 1847 we Lwowie szubienicą wykonany.*

Istota uczynku. Usiłowania, które w roku 1831 w niektórych prowincjach dawnej Polski, powstanie wywołały i te polityczne stronnictwa, co upadek tegoż powstania przyspieszyły, nie ustały z słumieniem wspomnianego powstania, trwały ciągle, a to między wychodźcami polskimi.

Dwa liczne zbory odmiennej barwy, na rozmaite frakcje podzielone, to jest: arystokratyczne i demokratyczne stronnictwo, stanęły nieprzyjaźnie przeciw sobie, a obydwie te stronnictwa przeciw rządowi, w krajach dawnej Królestwo Polskie składających, istniejącym.

Druku i osobistego wpływu wysłanników użyto do zamierzonego celu, uzyskania przez rewolucję politycznego bytu dla dawnej Polski.

Stronnictwo Demokratyczne, między wychodźcami Polskimi istniejące, okazało się, zważywszy liczbę członków tegoż i wpływy w krajach dawnej Polski wywarte, daleko możniejsze, aniżeli stronnictwo arystokratyczne.

Dzieje tajemnych stowarzyszeń różną nazwą noszących i różnie uorganizowanych, jednakowoż restauracją niepodległej i na demokratycznych zasadach rządzonej Polski, w tych granicach, w jakich Polska przed rokiem 1772 istniała, za główny cel mających, które już drugi lat dziesiątek w krajach, co dawną Polskę składały, szczególnie w Królestwie i Galicyi spokój zaburzać umiały, mogą wykazać, jak wielce stronnictwo demokratyczne na wyż wspomniane usiłowania wpływało.

Dowiedziona jest rzeczą, iż stowarzyszenie polityczne pod nazwą Karbonarów powszechnie znane, w Galicyi wychodźcy polscy rozkrzewili. Jeden z tych wychodźców, Napoleon Nowicki, uformował jeszcze w roku 1834 także stowarzyszenie we Lwowie, a członkowie onegoż odegrali poprzedniczo, w przedsięwziętej roku 1833 przeciw cesarstwu rosyjskiemu, tak zwanej partyzanckiej wyprawie, najglówniejsze role.

Zgromadzenie karbonarów przyjęło do swego grona niektórych za zdolnych uznanych członków, już dawniej tu istniejącego, żadnej pewnej nazwy nie mającego klubu rewolucyjnego, później rozwiązało się, aby się połączyć w tajemny związek, nazwę „Stowarzyszenie ludu polskiego“ noszący.

Związek ten pod nazwą „Stowarzyszenie ludu polskiego“ na początku 1835 r. w Krakowie, ówczesnej widowni i ognisku różnorodnych agitacyj politycznych, pod wpływem wystannika związku „Nowa Europa“ stanowiącego, utworzony, zaszczerpił w Galicyi, a w szczególności we Lwowie, jeszcze tego samego roku emisaryusz Seweryn Goszczyński.

Z członków związku wspomnionego „Stowarzyszenie ludu polskiego“ utworzyło się stowarzyszenie nazwy „Młoda Sarmacya“, które więcej pomniejszych klubów rewolucyjnych w swe szeregi przyjęło i z którem to stowarzyszeniem, frakcyja demokratyczna emigracyi polskiej, wielowzględnie utrzymywała stosunki.

Podczas gdy związki rewolucyjne wyżej wspomniane, w Galicyi czynnemi były, ukonstytuowało się we Francyi, siedzibie znaczniejszej części wychodźców polskich, Towarzystwo Demokratyczne Polskie, a to aktem dnia 17 marca 1832. sporządzonym, do którego stowarzyszenia blisko trzech tysięcy osób przystąpiło.

Wewnętrzna organizacya związku polsko-demokratycznego, podległa w latach 1835 i 1837 zmianom — jednakowoż co się tyczy dążeń i działań, pozostał ten związek wiernym raz obranemu, manifestem w Poitiers dnia 4 grudnia 1836 r. wydanym, publicznie ogłoszonemu celowi: nadania Polsce politycznego bytu, w dawnych jej granicach i urządzeniem teŹ na demokratycznych zasadach.



Znana pod nazwą Centralizacyi, początkowo z dzie-  
więciu, a później z pięciu, każdego roku wybieranych  
członków, złożona najwyższa władza Towarzystwa Demo-  
kratycznego Polskiego, której szczegółowo wydział tajnych  
usiłowań stowarzyszenia, to jest: wyłączne kierowanie  
spiskiem w dawnych polskich krajach istniejącym, poru-  
czono — dążyła bez ustanku rozszerzaniem ludowładczych  
zasad i obrabianiem narodu polskiego do podniesienia  
przeciw istniejącym rządowi rokoszu, ku zamierzonemu  
celowi. Pisma tej dążności przez wspomniane stowarzy-  
szenie wydawane, a po Galicyi w niezliczonych exempla-  
rach upowszechniane, nie zostały niestety! osobiście u  
młodzieży, bez wpływu.

Czynność zaś emisaryuszów, przez Towarzystwo  
Demokratyczne do krajów dawnej Polski wysyłanych.  
okazała się jeszcze skuteczniejszą; udało się albowiem  
tymże dla swej sprawy, nawet pomiędzy temi wyższemi  
klasami społeczeństwa, które przez zamierzoną polityczno-  
socyalną, rewolucję, w swych nadziejach, na ojczystych opar-  
tych prawach, uszczerbek ponieśćby były musiały, znaleźć  
zwolenników.

Niektórych z tych emisaryuszów wysledzono i wśród  
rozpoczętych przez nich działań uwięziono, mianowicie:  
Roberta Chmielewskiego, który w roku 1836 był człon-  
kiem centralizacyi i Lesława Łukasiewicza — pierwszy  
z nich aż po czas uwięzienia swego, to jest po rok 1841  
wchodził nie tylko w układy z towarzystwem Młoda Sar-  
macya zwanem, lecz starał się także o stronników dla  
Towarzystwa Demokratycznego i przyjmował tychże na  
członków, w czem wychodzić, Alojzy Tworowski, także  
Zgierskim zwany, był mu pomocnym.

Pomimo baczności władz rządowych, trwała agita-  
cja ciągle, pisma rewolucyjne Towarzystwa Demokraty-  
cznego sprowadzano pokryjomu do ziem polskich, pod  
różnemi pozorami zbierano składki na rzecz emigracyi i  
nowi emissaryusze prowadzili dalej rozpoczęte przez swych  
poprzedników dzieło. Sam Teofil Wiśniowski wyznał, iż  
podczas pobytu jego w Versailles, gdzie jako członek i se-  
kretarz Centralizacyi mieszkał, to jest, od roku 1841 do  
1844 Tomasza Malinowskiego w Poznańskie, a Faustyna  
Filanowicza na Ukrainę jako emisaryuszów wysłano.

W tym samym czasie otworzono za staraniem Centralizacyi kurs sztuki wojennej, którą Józef Wysocki i Ludwik Mierosławski wykładali; umieszczono także niektórych wychodźców w szkołach wojskowych w Paryżu i w Metz, jakoteż w fabrykach prochu i broni. W końcu przedsięwzięta Centralizacya utworzenie osobnej szkoły wojskowej, która miała podług okólnika, w Versailles dnia 21 listopada 1843 r. wydanego, przeznaczenie wykształcić dla przyszłego powstania zdatnych oficerów i w tymże samym celu upowszechnić w narodzie i w emigracyi polskiej niezbędne wiadomości wojskowe.

Na korzyść tej szkoły wojskowej, robiono także i w Galicyi składki, a to za staraniem Teofila Wiśniowskiego, który w jesieni 1844 r. w Galicyi zjawił się i w tym względzie z Franciszkiem hrabią Wiesiołowskim porozumiał; oprócz tego był Teofil Wiśniowski rzeczonoego czasu czynnym w sprawie rewolucyjnej propagandy, przez upowszechnianie pism Towarzystwa Demokratycznego, poczem na krótki czas do Multan wydalł się.

Usiłowania te rewolucyjne najlepiej powiodły się w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, albowiem już w jesieni 1844 r. ustalił się centralny Komitet, do kierowania ogólnego spisku który jednakowoż Centralizacyi w Versailles siedzibę mającej ulegał. Także poznańscy sprysiężeni najbardziej wybuch powstania, którego jak najprędzkie urzeczywistnienie Centralizacya uchwaliła, przyspieszyć starali się.

W Galicyi wszczął się większy ruch kwoli powstania dopiero z początkiem 1845 r. właśnie w tym czasie, w którym ważna sprawa o zbrodnię stanu przeciw uczestnikom wyż wspomnianych, w Galicyi istniejących politycznych stowarzyszeń, w moc najwyższych, łagodnych poleceń Najjaśniejszego Pana, tylko przeciw najwinniejszym wytoczona ukończoną została; a zatem bezpośrednio po tem, gdy Najjaśniejszy Monarcha prawie wszystkich wspomnionej zbrodni winnymi uznanych, wielkomyślnie ułaskawić, wolnością obdarzyć i rodzinom powrócić, a nawet emissaryuszom Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, Robertowi Chmielewskiemu i Lesławowi Łukasiewiczowi, zasłużoną karę śmierci darować raczył.

Te odnowione usiłowania wyszły także z emigracji, albowiem Edward Dembowski, także Borkowski i Kowalskim mianujący się, spiskowy z Królestwa Polskiego zbiegły, przez Teofila Wiśniowskiego Franciszkowi Hrabie mu Wiesiołowskiemu polecony, był tym, któren wspomnianego Hrabiego Wiesiołowskiego, już w Marcu 1845 r. o szeroko rozgałęzionym spisku w Poznańskim i Krakowskim, oraz o przysporzonych przygotowaniach do powstania zawiadomił. Niebawem zjawił się i Wiktor Heltman, także Gliszczyński zwany, członek Centralizacyi i Poznańskiego Komitetu, w Galicyi, celem uorganizowania wyższych władz spiskiem kierować mających, wysłany i obydwaj rozpoczęli swoje działania. Obaj wyż wymienieni zjechawszy się w wschodniej części Galicyi z Teofilem Wiśniowskim, przybyli z tymże dnia 18 Kwietnia 1845 r. powtórnie w obwód Tarnowski do Franciszka Hrabiego Wiesiołowskiego, na którym to zjeździe Teofil Wiśniowski, którego rozkazom Komitetu Poznańskiego poddano, kierowanie przygotowaniem do powstania, w 12-stu wschodnich, zaś Franciszek Hrabia Wiesiołowski i Edward Dembowski w 6-ciu zachodnich obwodach obiegli, poczem stosownie do umowy działania swoje zbieraniem składek pieniężnych, rozszerzaniem buntowniczych pism, osobistemi odezwaniami i mianowaniami agentów, równie umocowanych, rozpoczęli.

Kilkakrotna bytność wyż wymienionych, tudzież innych, w duchu zamierzonego powstania działających osób w Poznańskim, przywiodła do skutku pożądaną zgodność w działaniach spiskowych.

Teofil Wiśniowski, wróciwszy w pierwszych dniach Października z Poznania, wezwał w imieniu komitetu Poznańskiego, w obwodach wschodnich do składki pieniężnej, na pokrycie kosztów podróży stu oficerów z Francyi przybyć mających, tudzież na zakupienie zamówionego reglamentu wojskowego i przywiódł tę składkę do skutku.

W Listopadzie 1845 r. ustanowiono w Poznaniu nowy komitet dyrygujący, który uchwalił, że nadal Franciszek Hrabia Wiesiołowski przygotowaniem powstania w całej Galicyi zawiadywać i w obwodach wschodnich pośrednictwem Teofila Wiśniowskiego, Edwarda Dembowskiego, i dwóch innych wysłanników, użyć ma. Że uchwale tej zadosyć uczyniono, świadczy sprawozdanie Teofila Wiś-



niowskiego z grudnia 1845 r. o urządzeniu związku w obwodach wschodnich, w którym donosił, że już pod ten czas w obwodach Samborskim, Stryjskim, Kołomyjskim, Tarnopolskim, Czortkowskim i Brzeżańskim około trzydziestu osób, mianowicie księży, właścicieli dóbr, lub części tychże, dzierżawców, mandataryuszów i innych prywatnych urzędników w sprawie powstania czynnymi było.

Począwszy od grudnia 1845 r. jeszcze czynniej zajęto się przygotowaniem do powstania i rozgałęzieniem stowarzyszeń, a te starania szczególnie we Lwowie, gdzie Edward Dembowski i jego powiernicy, najwięcej zaś Hugo Wiśniowski, zbrodni stanu w ciągu tegoż roku winnym uznany i razem z wielu innymi, najwyższem postanowieniem ułaskawiony, czynnymi byli, pożądaną uzyskały skutek; myśl bowiem powstania we wszystkich stanach znalazła zwolenników; a Teofil Wiśniowski, już z końcem grudnia 1845 r. o pomyślnych postępach sprawy powstania w Złoczowskim obwodzie donieść mógł.

Podług sprawozdania Dembowskiego ze stycznia 1846 r. liczba związkowych we Lwowie już była bardzo znaczną i z każdym dniem wzrastała.

W drugiej połowie stycznia 1846 r. zgromadzili się w Krakowie, prócz kilku naczelników powstania w Galicyi, także Ludwik Gorzkowski, Dr. Jan Tyssowski, Ludwik Mierosławski — ostatni pod imieniem Majewskiego.

Tenże Mierosławski przybył d. 31. grudnia 1845 r. z Francyi do Poznania. Centralizacya, której członkami pod ten czas byli, sam Mierosławski, nie obecni we Francyi: Wiktor Heltman i Teofil Wiśniowski, w końcu Jan Alcyato i Józef Wysocki — upoważniła Mierosławskiego nie tylko do ułożenia się z posłami wszystkich ziem dawnej Polski, względem członków przyszłego rządu rewolucyjnego, lecz nawet umocowała go podług własnego zdania wojennemi obrotami zarządzić; jednak w obrębach planu przez Centralizacyę wytyczonego i uchwalonego, podług którego po pomyślnem powstaniu wszelkimi siłami w pierwszych ośmiu dniach zebrać się mogącemi, z wszystkich ziem dawnej Polski do Królestwa wkroczyć przeciw nadciągającym, austryackim i rossyjskim armiom rezerwą, czyli drugim wyborem, opór stawiać a stanowiącą bitwę z armią rossyjską na ziemi Królestwa stoczyć miano.

Członkami Rządu Narodowego mianowano w Krakowie dla emigracyi Jana Alecyata, dla Poznania Dr. Karola Libelta, dla obwodu Krakowskiego Ludwika Gorzkowskiego, w końcu dla Galicyi Franciszka hrabiego Wiesiołowskiego, który ostatni jednakowoż 21. stycznia 1846 r. tę posadę Janowi Tyssowskiemu odstąpił i natomiast wielkorządcą Galicyi mianowanym został.

W chwili przyjazdu Alecyata i Libelta do Krakowa, miał się ustalić rząd rewolucyjny i zaraz członka rządu narodowego dla Królestwa Polskiego obrać. Do wybuchu ogólnego powstania przeznaczono dzień 21 lutego r. 1846.

Mierosławski przedstawiał i objaśniał plan wojenny uchwalony, wydał instrukcyę dla władz rewolucyjnych i oznaczył skład rządu. Ta instrukcyja drugim numerem gazety chwilowej Rzeczypospolitej Polskiej, w Krakowie wydanej, ogłoszona, zawiera naprzód podział powstającej Polski na pięć ziem, z których każda miała mieć wielkorządcę, dalej na obwody z obwodowymi komisarzami i na gminy z wójtami; powtórę rozporządzenie, aby powstanie wszędzie jednej i tej samej chwili uskuteczniło.

Przy Mierosławskim znaleziono drugą instrukcyę dla oficerów obwodowych, których trzech każdy komisarz obwodowy mianować miał, w tej polecając zniszczenie wojskowych załóg ubieżeniem lub zdradą, użyto kilkakrotnie wyrazów „Sycylijskie nieszpory“.

Inne bezpośrednio przed powstaniem często rozszerzane instrukcyje i odezwy, których kilka sądowi przedłożono, nauczają: jak księża, dziedzice dóbr, lub ich urzędnicy powstanie ogłaszać mają; jak ogół, mianowicie wieśniaków przez ogłaszanie zmiany stosunków towarzyskich przyszłej równości, wolności, braterstwa, zniesienia różnicy stanów, pańszczyzny, danin i przez tem podobne obietnice, do powstania zagrzewać.

Wszystkie te wyżej wymienione zarysy praw i odezw są oczywistą wynikłością kilkuletnich, w dziennikach umieszczanych rozpraw partyi demokratycznej o możliwości powstania i o ustanowieniu władz rewolucyjnych, tudzież uchwalonego przez Centralizacyę prawidła, połączenia powstania narodu z reformą, czyli odrodzeniem stosunków towarzyskich.

Podług wspomnianego planu organizacji miał być w każdym wielkorządztwie osobny Trybunał rewolucyjny. Mianowali zatem naczelnicy w Krakowie Teofila Wiśniowskiego prezesem Trybunału w Galicyi, w skutek czego Wiśniowski przy wielkorządecy Franciszku hrabiu Wiesiołowskim zostawać i wybuchu powstania w Jordanowie oczekiwać miał. Nieprzyjemne jednak i nieprzewidziane okoliczności, w stanowczej chwili, albowiem przed samym wybuchem powstania, przeszkodziły bytności dowódców na oznaczonych miejscach, a tem samem i dokładnemu wykonaniu uchwalonego planu.

Tak skutkiem uwięzień i innych przez c. k. Rząd użytych środków ostrożności, przedsięwzięcie rozpoczęcia powstania we Lwowie, już 17 Lutego 1846 r. zaniechano, w Tarnowie zaś, z bojaźni grożących wielom uwięzień, przyspieszono i w nocy z 18go na 19go Lutego usiłowano.

Szybko szerząca się wieść o krwawych zajściach, usiłowanem ubieżeniem Tarnowa sprowadzonych, zrządziła to, iż w wielu, szczególnie bliższych obwodach, podniesienie powstania na 21. Lutego 1846 r. przeznaczone, odwołano, gdy tymczasem w innych, odleglejszych okolicach do zbrojnego skupienia się spiskowych, a nawet jak to w niektórych miejscach obwodu Sanockiego, do wybuchu przyszło, zaś w Chochołowie w Sandeckim i w Horożanach, w Samborskim obwodzie wydarżyły się nadto krwawe utarczki.

Ta równoczesność prawie w całej Galicyi rozszerezonego zaburzenia, dowodzi, jak znacznie w tej prowincyi spisek rozgałęziono.

Jednem z najznacześniejszych zdarzeń tego rodzaju: napad na oddział c. k. pułku Huzarów króla Wirtemberskiego, w Narajowie, obwodzie Brzeżańskim, był ostatnim wpływem i objawem rewolucyjnej działalności wystannika Teofila Wiśniowskiego, a to:

Dnia 21. Lutego 1846 r. wieczorem zgromadziło się około 40 umówionych w karczmie Kragła zwanej, w lesie pół mili od Narajowa stojącej, jak większa część tychże wyznała, celem powstania.

Zgromadzenie to nastąpiło w części skutkiem poprzedniego porozumienia się, w części skutkiem wezwań w tym samym dniu poczynionych, zaopatrzywszy się w rozmaitą broń, jako to: w dubeltówki, pistolety, pałasze i



topory: a tak oddział powstańczy liczył, łącznie ze służbą, około 60 głów.

Między tymi powstańcami znajdował się także Teofil Wiśniowski, któryto tak bezpośrednio, jako też i za pośrednictwem innych osób powyższe zgromadzenie wywołał.

Zgromadzonemu przedstawił się Wiśniowski jako cywilny komisarz rządu rewolucyjnego, któremu się posłuszeństwo winno, wykrył im dalej, że tegoż dnia rewolucya we wszystkich dawno polskich krajach wybuchnie, rozkazał im uzbroić się i odebrał od nich przysięgę: że tak cywilnej jak wojskowej władzy posłusznymi będą i aż do zupełnego uwolnienia ojczyzny z rąk nieprzyjaciela broni nie złożą.

Potem oznajmił im Wiśniowski, że w pochód ku Narajowu udadzą się, stajnie huzarów napadną, i po zabranii broni i koni, tudzież po pokonaniu żołnierzy na Brzeżany uderzą.

Ponieważ w Narajowie trzy stajen napaść zamierzono, uformowali się powstańcy w trzy oddziały, wybrawszy oraz trzech dowódców: jednakże pochód opóźniali, oczekując przybycia daleko większej liczby uzbrojonych, z którymi cała liczba 200 głów wynosić miała.

Tymczasem o tem zbrojnym zgromadzeniu, dano znać do Narajowa, skąd dowódzca szwadronu i miejscowy mandataryusz podoficera z 4 huzarami i pachołka dominikałnego, Brennera, na zwiady do owej karczmy wysłali. Ci rozpędzili i ścigali stojące przed karczmą czaty powstańców; lecz gdy na próg izby gościnnej, gdzie się sprysiężeni znajdowali, wstąpili i ci ognia dali, wtedy zostawiwszy pachołka Brennera, który się ukrył, i szeregowca Kissa, którego ciężko raniono, spieszenie do Narajowa wrócili, by o tem co zaszło, zdać sprawę.

W czasie tej potyczki w karczmie, znajdowali się w izbie szynkowej wieśniacy, Michał Czopik i Wasyl Sałasz, i obadwaj strzały powstańców z izby gościnnej do szynkowej padające, życiem przypłacili; sługa Michał Kulik zaś, będący na podwórzu, został rannym.

Powstańcy nie szykowali się w trzy oddziały, jak ułożono, przewidując, że oddział huzarów o ich zamachu zawiadomiono; lecz skupiwszy się i mając na celu, już

nie napad na stajnie lecz uderzenie na załogę, udali się ku Narajowu i blisko cmentarza spotkali się z oddziałem, huzarów na prędko zebranych, który powstańców okrzykiem i ogniem powitał i podobnie od tychże przyjęty został. Po krótkiej utarczce, zwrócił oddział huzarów ku Brzeżanom; to miasto bowiem, jak pogłoska szerzyła, miało być zagrożone; poczem garstka powstańców nie mając odwagi napaść załogę Brzeżańską, cofnęła się.

Z powstańców raniono w tej potyczce trzech, jednego nawet ciężko, z huzarów zaś dwóch ubito a kilku raniono.

Z resztą w samym Narajowie, raniono ciężko Józefa Webera, strzelca w służbie rotmistrza księcia Löwesteina, Onufrego Wepryka, przypadkowo przejeżdżającego, podanego z Mużyłowa, narajowskiego staro-zakonnego, Jankiela Łejbe Wejssa lekko i наконец narajowskiego mieszkańca Jana Bereżańskiego śmiertelnie, który ostatni starzec dnia 3. Kwietnia 1846 r. w skutek zranienia zmarł.

W pochodzie z Narajowa, wstąpili powstańcy do karczmy w Błotni: Teofil Wiśniowski usiłował zgromadzonych tam wieśniaków wiadomemi złudzeniami, do uzbrojenia i złączenia się nakłonić, lecz na próżno. Z Błotni udała się większa część powstańców, z Teofilem Wiśniowskim do Pomorzan do proboszcza Antoniego Scherschnika, gdzie nowemi zbrojnemi posiłkami wzmocnić się i z oczekiwaniem z różnych stron oddziałami na inny punkt uderzyć zamierzano; spostrzegłszy atoli pomorzańskich mieszczan, sobie nieprzyjaznych, a nawet na nich rzucić się gotowych, pierzchli powstańcy.

Chociaż żadnego z uczestników tej krwią ludzką opłacanej nocnej wyprawy na uczynku nie pojmano, jednakże potrafiła zwierzchność onychże wykryć; i z 36 osób, których karze podpadające, bezpośrednie działanie przy tym zamachu udowodniono, udało się tylko czterem ujsć, 32 zaś osób do odpowiedzialności sądowej pociągniętych, zbrodni stanu za winnych uznano, z których 28 Jego Cesarska Mość zasłużoną karę śmierci darować, i tak tych 28 jako i 3 innych na doczesną karę skazać raczyła.

Trzydziestym drugim jest Teofil Wiśniowski, który przebrawszy się z Pomorzan do Manajowa, w obwód

Złoczowski uszedł i tamże szukał schronienia. Pojmany przez włościan, przed tymi jako też później w c. k. Urzędzie cyrkularnym w Złoczowie udawał, iż jest księdzem Benedyktem Lewińskim z Wołynia w skutek prześladowania wiary zbiegłym; jednakże poznany, lwowskiemu c. k. Sądowi karzącemu, oddanym został.

Teofil Wiśniowski ma być z Jazłowca, obwodu Czortkowskiego w Galicyi, rodem, liczy lat 40, żonaty, ukończywszy prawne nauki w roku 1829 na c. k. wszechnicy Lwowskiej, był już w roku 1835 o zbrodnię Stanu sądownie badany, jednakże w roku 1836 dla braku prawnych dowodów, uwolnionym. W roku 1838 zbiegł tenże do Francyi, unikając grożącego mu z podobnych przyczyn uwięzienia i zaraz w Strasburgu przystąpił do tam istniejącego wydziału towarzystwa demokratycznego polskiego, w roku zaś 1841 do zawiadującej tamże władzy, Centralizacyą zwanej, przy której obowiązki sekretarza aż po rok 1844, to jest do wyjazdu z Francyi pełnił.

Jak wielkim w ogóle był wpływ wspomnionego stowarzyszenia i centralizacyi, na wywołanie nieszczęsnego zamachu rewolucyjnego z roku 1846 i jak znaczna w tym celu przez Teofila Wiśniowskiego rozwinięta działalność, pokazuje powyższą istotą uczynku, ugruntowana na licznych, zaprzysiężonych zeznaniach świadków, na dokumentach pisemnych i na wyznaniach wielu współwinnych, a szczególniejszych naczelników całego zamachu, (§. 430 kod. kar. I. Części i nadw. dek. z dnia 17. stycznia 1818. do L. 1404).

Wina Teofila Wiśniowskiego, za którego pojmanie rząd ogłoszeniem z dnia 26. Lutego 1846 do L. 850 nadgrode 1.000 zł. m. k. wyznaczył, jest w niektórych głównych ustępach jego rewolucyjnej działalności, własnem wyznaniem podług §§. 398 i 399 kod. kar. I. Części — z resztą zaś podług §§. 413 kod. kar. Części I. udowodnioną.

Na podstawie ukończonego, sądowego śledztwa i uzyskanego dowodu, zapadł uchwałą Lwowskiego c. k. Sądu karzącego z dnia 10. Września 1846 r. do l. 3815, c. k. Apelacyi Trybunału z d. 25. Listopada 1846 do l. 21095 a nakoniec c. k. Sądu najwyższego Sprawiedliwości z d.



1. lipca 1847 do l. 4873, — wyrok, mocą którego Teofil Wiśniowski, fałszywie Karol Duval, Winnicki, Dąbrowski, Zagórski i Benedykt Lewiński zwany, zbrodni Stanu winnym uznany i według przepisu §§. 10 i 53 kodek. kar. Części I. na karę śmierci, szubienicą wykonać się mającą, skazany został.



## SPIS RZECZY.

**I.** Doba emigracyjna w Galicyi. — Komitet obywatelski. — Związki: dwudziestu i jednego oraz bezimienny. — Karbonaryzm ogólnie europejski. — Organizacya piątkowa. — Zjazd w Rzepniowie. — Przyjaciele ludu. — Łoże: lwowska i krakowska. — Działalność Hugona Wiśniowskiego i Adolfa Dawida. — Teofil Wiśniowski. — Jego młodość i stosunki rodzinne. — Wstąpienie do stowarzyszenia Przyjaciół ludu. — Aresztowanie i zgon samobójczy Dawida. — Prześladowania rządowe w Galicyi. — Węglarstwo Polskie. — Związek wzajemnej pomocy. — Agitacya wśród mieszczanstwa lwowskiego. — Wybór Teofila Wiśniowskiego do dykasteryi. — Znaki węglarskie. — Wpływ Kazimierza Grocholskiego wśród młodzieży lwowskiej. — Uwięzienie Augusta Bielowskiego. — Schwytanie Teofila Wiśniowskiego. — Śledztwo i uwolnienie obwinionego o naruszenie spokoju publicznego. — Dalsze koleje życia Teofila Wiśniowskiego. — Spadkobiercy kasztelana Bienkowskiego. — Kornelia z Bienkowskich Wiśniowska. — Sprawa księży ruskich. — Wyjazd Teofila Wiśniowskiego do Francyi w lecie 1838 r. Str. 3.

**II.** Stanowisko i znaczenie wychodźstwa polskiego. — Walka stronnictw. — Komitety Niemcewskiego i Lelewela. — Zawiazanie Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. — Komitet Dwerneckiego. — Legion portugalski. — Misya generała Dembińskiego do Egiptu. — Rozwój i wzrost Towarzystwa Demokratycznego. — Program i organizacya Towarzystwa. — Zadanie Centralizacyi. — Emisaryusze. — Fundusze i publikacye Towarzystwa. — Przybycie Wiśniowskiego do Francyi. — Wstąpienie do sekcyi Towarzystwa Demokratycznego w Strasburgu. — Misya do Galicyi w roku 1840. — Wybór do Centralizacyi w roku 1841. — Działalność Wiśniowskiego jako sekretarza Centralizacyi. — Ponowna misya do kraju w roku 1843. — Rozprawa Wiśniowskiego p. t. Panslawizm czyli Wrzechsłowiańszczyzna. — Tendencya przyspieszenia powstania wśród wychodźstwa. — Ruch w Wielkiem Księstwie Poznańskiem. — Sprawa zbrojnej rewolucyi w łonie Centralizacyi. — Przyjazd Mierosławskiego w grudniu 1845 r. do Poznania. — Str. . . . 25.

**III.** Sytuacya polityczna w Europie przed wybuchem rewolucyi ludowej. — Ogólny plan powstania polskiego. — Stan wewnętrzny Galicyi. — Misya Wiśniowskiego w roku 1844. — Jego bytność w Tarnowskiem. — Narada w Wojsławiu w marcu 1845 r. — Dalsze plany Wiśniowskiego. — Wycieczka do Poznania. — Zjazd pod Dąbrową. — Zmiany w składzie komitetu poznańskiego. — Ponowna narada w Wojsławiu w grudniu 1845. r. — Zapatrywania

Wiśniowskiego na kwestyę ludową. — Agitacya jego w cyrkulach wschodnio-galicyskich. — Spotkanie naczelników związku w Krakowie. — Wybór rządu narodowego i oznaczenie terminu wybuchu powstania na dzień dwudziesty pierwszy lutego 1846. roku. — Wiśniowski mianowany prezydentem trybunału rewolucyjnego dla Galicyi. — Przyspieszenie terminu powstania i rzeź Tarnowska. — Związkowi we wschodniej części kraju. — Wyprawa narajowska. — Ujęcie Teofila Wiśniowskiego w Manajowie. — Str. . . . 60.

**IV.** Procesy uczestników rewolucyi lutowej. — Artykuły „Gazety augsburgskiej“. — Śledztwo w sprawie Wiśniowskiego. — Wyrok pierwszej instancyi skazujący go na karę śmierci. — Listy Wiśniowskiego pisane z więzienia do rodziny. — Wyroki sądu wyższego lwowskiego w sprawach Wiśniowskiego, Kapuścińskiego i Kmietowicza. — Józef Kapuściński. — Ks. Leopold Kmietowicz. — Zatwierdzenie wyroków Wiśniowskiego i Kapuścińskiego przez sąd najwyższy. — Odczytanie wyroków skazanym. — Gotowanie się na śmierć. — Ostatni list Wiśniowskiego do rodziny. — Spełnienie wyroków śmierci w dniu 31. lipca 1847 r. na górze tracenia. — Pochowanie zwłok straconych. — Zachowanie się ludności. — Str. 78.

**V** Wrażenie wywołane straceniem skazańców. — Głos „Deutsche Zeitung“. — Odezwa hr. Stadyona. — Demonstracye na miejscu kaźni. — Wieść o zgonie Wiśniowskiego w Grajgórze. — Obchody żałobne w Paryżu, w Londynie, oraz w prowincjonalnych miastach francuskich. — Głos Wiśniowskiego do ludu polskiego w „Demokracie Polskiej“. — Zamierzony obchód pamiątkowy w d. 26. Kwietnia 1848. r. — Pierwsza rocznica stracenia. — Wydawnictwa okolicznościowe. — Pamiątki po Teofilu Wiśniowskim. — Demonstracya w dniu 31. lipca 1861 roku. — Krzyż drewniany na wzgórze tracenia. — Towarzystwo demokratyczne, lwowskie w Majdanie Górnym w lipcu 1869 roku. — Obelisk pamiątkowy, ustawiony w lipcu 1895. r. — Str. . . . . 98.

**VI.** Dodatek. (Wyrok śmierci, zapadły przeciw Teofilowi Wiśniowskiemu w c. k. Sądzie karzącym lwowskim). Str. . . . 25.

